№ 12. Warszawa, dnia 12 (24) Marca 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Benedykt Spinoza.

(Dalszy ciąg).

Zcharakteryzowaną w poprzednim numerze puściznę grecko-rzymską—Rzymianie niczem prawie jej nie wzbogacili—otrzymali filozofowie średniowieczni chrześciańscy, wyłącznie prawie (od IX do XV wieku) duchowni. Zasób skarbów duchowych ludzkości zbogacony został wielkim nabytkiem — wiarą chrześciańską: zdawało się więc, że może połączywszy należycie cenny ten żywioł z szacownymi wynikami mądrości greckiej, powiedzie się rozstrzygnąć zadawalniająco rozpoczęte już przez filozofów greckich kwestye. Nie nastąpiło to jednak, już to dla braku wielkich geniuszów w owych czasach; już to w skutek zaginięcia żywej tradycyi filozofii greckiej, czerpanej w wiekach średnich jedynie z dzieł Arystotelesa i to z przekładu arabskiego, a więc z drugiej ręki; już to wreszcie w skutek mylnego pojęcia o stosunku filozofii do religii, wytworzonego i stosowanego przez duchownych filozofów średniowiecznych, zwanych zwykle scholastykami. Słuszna i prawdziwa zasada o uzupełnieniu filozofii przez religią, wypowiadana przez niektórych ojców kościoła, jak św. Justyn i św. Klemens, nie znalazła wyznawców pomiędzy scholastycznymi filozofami wieków średnich: natomiast zapanowała inna błędna zasada, jakoby filozofia powinna być sługą teologii. Nie rozumiejąc, czyli raczej nie chcąc rozumieć, że religia tam właśnie rozpościera swoje panowanie, dokąd już filozofia sięgnąć nie może, a w sferze rozumowi dostępnej bynajmniej swoich poglądów nie narzuca, nie staje w poprzek filozofii i przeciwnych rozumowi zdań nie głosi, średniowieczni teologowie zwrócili całą swą uwagę na przystrojenie w szatę filozoficzną dogmatów, które tego bynajmniej nie potrzebują, na subtelne rozumowania o rzeczach dla rozumu nieprzystępnych, a tem samem przyłożyli się do zamącenia i upośledzenia rozumu ludzkiego. Chcieli oni na miejscu wszelkich nauk postanowić samą tylko teologią i tem sprowadzili to jedynie, że wskutek reakcyi, rozum niebawem zbuntował się przeciwko temu gwałtowi i zerwawszy krępujące go pęta, dopuścił się niemało nadużyć i wybryków, nie uszanowawszy ani teologii, ani religii. Bóg, który dał człowiekowi rozum, chciał zapewne ażeby ten rozum badał i dociekał w granicach mu zakreślonych; scholastycy zaś na wszelkie kwestye, nawet religii nietylko że niesprzeczne, ale niedotykające, mieli jedną odpowiedź, „tak Bóg chciał" albo, zamiast dowodów, przytoczenia tego lub owego ustępu z Pisma świętego, częstokroć nie zostającego z daną kwestyą nawet w najdalszym stosunku.

Przekazany przez filozofią grecką fakt sprzeczności pomiędzy myślą i zjawiskami zewnętrznemi nie zajmował scholastyków: poprzestając na tem, że człowiek jest złożonym z ducha i ciała, uwydatnili tylko i obostrzyli ten dualizm, ucząc, że dusza jest zamknięta jak w więzieniu w ciele, które jest pierwiastkiem złym, godnym martwienia i dręczenia — pogląd ten przyszedł ze wschodu i znalazł swój wyraz w biczowaniach, dobrowolnem kaleczeniu się, włosienicach, przesadnych postach i t. p. praktykach, których Pismo Święte bynajmniej nie nakazuje, ani też poglądów o owem krańcowem przeciwieństwie i walce ducha z ciałem nigdzie nie wypowiada. Dualizm więc został i nadal, nietylko że niewyjaśniony i bez usiłowań wyjaśnienia, ale bardziej jeszcze uwydatniony. Tym sposobem zasługa scholastyki dla filozofii była prawie żadną z wyjątkiem logiki, ale i to, z powodu zagmatwanych wysiłków i nadużyć, raczej zbrzydziło późniejszym pokoleniom *logikę*, której nie odróżniano od scholastyki, wspominanej długo przez ogół ludzi myślących z lekceważeniem, a przez przeciwników z pogardą. Gdy więc następnie z odrodzeniem nauk, rozum ludzki wyzwolił się i zaczął odzyskiwać swe prawa, na polu filozofii wypadało rozpocząć robotę na nowo — założyć podwaliny nowożytnej filozofii świata chrześciańskiego, mając za jedynych poprzedników myślicieli greckich. Nawiązując przerwaną nić myśli filozoficznych z nauką greckich filozofów i podejmując przekazane przez nich zadania; filozofia nowożytna ma jednak cechy sobie właściwe, odrębne, które niewątpliwie zbogaciły jej środki, w porównaniu z filozofią starożytną, chociaż cele pozostały te same, wyżej już wymienione. Tak przedewszystkiem filozofia nowożytna usiłowała nie zbaczać, ile możności, od chrześciańskich pojęć o Bogu, o duszy i o moralnej godności człowieka; jednocześnie zaczęła więcej zwracać uwagi na doświadczenia naukowe, na wyniki nauk przyrodzonych, mechaniki i matematyki, które równolegle z badaniami filozoficznemi dochodziły do coraz to znaczniejszego rozkwitu. Mówimy tu, oczywiście, tylko o filozofii kierunku idealnego, a przytem tylko o wiekach XVI i XVII, gdyż i wtedy, jaki w starożytności, materyalizm, użytkujący jednostronnie z tych ostatnich wyników nauk ścisłych i doświadczalnych, a zaniedbujący owych pierwszych żywiołów chrześciańskich, uważany był niejako za pasierba filozofii i rozwielmożnił się dopiero w XVIII stuleciu po naukach Locka i encyklopedystów francuzkich. Z tem wszystkiem myśl filozoficzna umiała zachować swą samodzielność i nie krępowała się żadną powagą w swoich dociekaniach. Cztery więc były żywioły składowe filozofii nowożytnej: puścizna greckich filozofów, pojęcia chrześciańskie, wyniki nauk ścisłych i doświadczalnych i samodzielne usiłowania wyzwolonego od powag rozumu. Ojcami filozofii nowożytnej pod dwoma ostatniemi względami byli: anglik Franciszek Bakon i francuz René Descartes (Kartezyusz); Bakon ustalił metodę doświadczeń naukowych, zkąd już wypłynęły zasady spożytkowania ich wyników w filozofii; Kartezyusz ustalił metodę badań samodzielnego rozumu i utworzył pierwszy system filozofii nowocze-

snej. O Kartezyuszu więc, jako mistrzu i poprzedniku Spinozy, wypada nam powiedzieć słów kilka.

Usiłując przede wszystkiem ustalić metodę badań filozoficznych, Kartezyusz obrał za punkt wyjścia zupełny sceptycyzm—zwątpienie o wszystkiem i nie uznając z góry żadnej prawdy, żadnego pewnika, począł przemyśliwać, jakim sposobem możnaby ustalić choć jedną zasadniczą prawdę. Prawdę tę wynalazł nie w księgach, ani w żadnej nauce, lecz jedynie w myśli ludzkiej: pierwszą i zasadniczą prawdą, kamieniem węgielnym wszelkiej filozofii i wszelkiego dowodzenia jest pewnik, *że człowiek istnieje*, i to nie dla tego że je, pije, wygląda tak i owak, rodzi się, chodzi i t. p. ale jedynie dla tego *że myśli*—ztąd słynna zasada Kartezyusza *myślę, więc jestem* (cogito, ergo sum). Nie możemy tu wchodzić w szczegóły niezbitego dowodzenia logicznego, którem Kartezyusz uzasadnia ten pewnik; uczynimy tylko zastrzeżenie, że ten pewnik nie orzeka bynajmniej o *wartości* i *prawdziwości* myśli ludzkiej: człowiek może się mylić, być w błędzie, wątpić i t. d. ale jeżeli pomyłki, błędy, wątpliwości i t. d. istnieją, to musi istnieć i ten, kto błądzi, myli się, wątpi i t. d. Kartezyusz nie obrał istnienia Boga za pierwszy pewnik, bo przekonanie o tem istnieniu tkwi w ludziach: potrzeba więc było wykazać, że człowiek z pewnością istnieje, gdyż w przeciwnym razie, gdyby była jaka wątpliwość co do istnienia człowieka, wtedy nie byłoby żadnej rękojmi i dla jego pojęć, jak pojęcie Boga. Dopiero ustaliwszy istnienie człowieka, jako istoty myślącej, Kartezyusz znajduje u ludzi pojęcie o Bogu i dowodzi, że to pojęcie nie może być wyrobem samego człowieka, gdyż w takim razie wyrób miałby większą doskonałość niż jego twórca; następnie wykazuje, że tego pojęcia człowiek nie mógł wziąść ze świata, gdyż Boga pojmujemy jako istotę bezcielesną, najdoskonalszą, wszechmocną i najmędrszą, a w świecie zewnętrznym nic z tego wszystkiego nie ma—są tylko kształty, barwy, wonie i inne tym podobne przymioty. Pojęcie o Bogu musi więc być człowiekowi wrodzonem. Następnie dowodzi Kartezyusz, że to pojęcie nie może być czczem i musi odpowiadać prawdziwemu istnieniu czyli rzeczywistemu bytowi, który nadto musi być koniecznym, nie zaś przypadkowym lub tylko możliwym, gdyż rzeczy przypadkowe i możliwe, wynikają zawsze z pewnych przyczyn, te znowu z innych przyczyn i t. d. a Bóg nie może już mieć żadnej przyczyny, gdyż wtedy ta przyczyna byłaby od Boga wyższą, a więc Bóg taki niebyłby Bogiem, to zaś, co samo jest ostateczną przyczyną, musi być koniecznem, a tą konieczną istnością właśnie i jest Bóg. Ustaliwszy tę drogą (wyłącznie rozumową, czyli, jak powiadają *a priori*) istnienie człowieka i Boga, Kartezyusz w dalszem badaniu rozpatruje się, co jest pewnego w naturze, czyli w przedmiotach zewnętrznych, zmysłowych, otaczających człowieka. Zmysły są ułudne i w ich świadectwie nie masz pewności; najpewniejszem zaś jest to, co jest najpowszechniejsze, najwyraźniejsze i najjaśniejsze, otóż taką cechą wszystkich przedmiotów zewnętrznych, zmysłowych czyli materyalnych jest ich *rozciągłość* w przestrzeni. *Rozciągłość* jest czemś tak jasnem i zrozumiałem dla myśli, że np. geometra kreśli z myśli i pamięci figury, których nigdy w przyrodzie nie widział: jest to więc istota, prawdziwa treść materyi. Tak więc rozumowaniem dochodzi Kartezyusz do uznania bytu trzech istot, trzech rzeczy czyli, jak je nazywa *substancyi* — są to: człowiek myślący a więc duch ludzki, Bóg i materya czyli ciało. Z tych trzech substancyi Bóg tylko jeden nie potrzebuje niczego; dwie zaś pozostałe — duch i ciało czyli materya — nie potrzebują niczego, oprócz tylko pomocy boskiej. W tem, co szczegółowo mówi o Bogu Kartezyusz, usiłuje być w zgodzie z nauką chrześciańską, w niektórych tylko punktach odstępuje od zasad teologii chrześciańskiej, z tych główne są następujące: Po pierwsze teologia uczy, że wszechmoc bozka ograniczona jest niejako bozką mądrością; według Kartezyusza zaś, wszechmoc Boga nie ma granic: Bóg mógłby np. sprawić, że dwa razy dwa nie będzie 4. Powtóre, według teologii Bóg raz tylko stworzył wszechświat i miał w tem pewny cel; Kartezyusz zaś utrzymuje, że Bóg tworzy ciągle i nie ma w tem żadnego celu: według jego dowodzeń, cele może mieć tylko człowiek, wskutek niemocy swoich zachceń; w Bogu zaś myśl i wola (zachcenia) są w zupełnej harmonii, a nawet stanowią jedno, jako wspólna doskonałość. Z powodu tych różnic w poglądach, Kartezyusz miewał zatargi z duchowieństwem, ale bądź co bądź różnice to nieznaczne i Kartezyusz chciał i może uchodzić za prawowiernego chrześcianina.

O dwóch pozostałych substancyach — *duchu* i *materyi* uczył Kartezyusz, że *myślenie* nie jest przymiotem istotnym pierwszego, a *rozciągłość*—drugiej: te to właśnie są przymioty, z których przekonywamy się o istnieniu obojga, w postaci których przedstawiają się nam obie substancye; przymioty te nazywa Kartezyusz *atrybutami*. Wszelkie inne podrzędne przymioty, cechy i zjawiska, które podpadają pod zmysły jak uczucia, chęci i inne objawy *ducha*, kolor, ciężar, ruch i inne przymioty i objawy *materyi*—wszystko to są tylko *postacie* (modi) przypadkowe, znikowe, niepewne, najczęściej będące ułudą zmysłów: tylko *myślenie* w duchu i *rozciągłość* w materyi są pewnymi, niewątpliwie istniejącymi objawami.

Dwie substancye — *duch* i *materya* jako *zupełnie samodzielne* i odrębnej natury, nie mogą, według Kartezyusza, wywierać na siebie żadnego wpływu. Zagadka połączenia ducha z ciałem w człowieku pozostaje i dla Kartezyusza zagadką, a wpływu ducha na ciało równie jak ciała na ducha (wbrew oczywistym faktom) Kartezyusz nie uznaje. Jeżeli więc pewnej myśli towarzyszy pewien ruch ciała (jak np. pisanie), to, według Kartezyusza, myśl nie wywiera tu żadnego wpływu na ciało (na ruch ręki z piórem), ale w każdym takim wypadku, gdy człowiek coś pomyśli, Bóg zaraz mu dopomaga, sprawiając w jego ciele odpowiedni ruch. Dziwna ta teorya, która czyni Boga niejako sługą człowieka na każde jego zawołanie i według której człowiek sam bez bozkiego udziału nie może poruszyć ani ręką, ani nogą, i zgoła nie ma żadnej władzy nad swem ciałem—ta teorya jest najsłabszym punktem nauki Kartezyusza i zarazem rażącym błędem, sprzecznym z codziennemi doświadczeniami, a nawet z religią. Dalej, ponieważ według Kartezyusza, duch i materya są zupełnie odrębne i sprzeczne — nie może więc pomiędzy nimi nic pośredniego, ztąd w przyrodzie Kartezyusz nie widzi żadnego ducha, ani życia. Świat, według niego, jest to prosta machina, jak zegar nakręcana ciągle przez Boga, martwa i, jak powiedziano, istniejąca zupełnie bez celu. Zwierzęta uważa Kartezyusz również za mechaniczne automaty. Taki pogląd na przyrodę stanowi drugą wadę systematu Kartezyusza. Szczegółów z jego fizyki, po części dowolnych, nie przytaczamy. W etyce Kartezyusz niewiele uczynił: tak nawet w najważniejszej kwestyi — swobody woli nie wyraża się stanowczo, równie jak i w kwestyi początku złego. To trzecia słaba strona jego systematu.

Do tego należy dodać jeszcze wadę ogólną, która zależy na wystawieniu przeciwieństwa pomiędzy duchem i materyą, a więc utrzymanie i większe jeszcze obostrzenie owego dualizmu, z którym tyle męczą się umysły filozofów od czasów najdawniejszych. Nie masz pomiędzy temi dwiema substancyami żadnego mostu, żadnego przejścia ani łącznika, oprócz działania Boga, który bardzo jakoś w tym razie podobny jest do maszynisty lub cieśli, ciągle majstrującego to koło jednej to koło drugi j substancyi. Po co i dla czego istnieją obydwie, dla czego są tak odmienne i między sebą sprzeczne? Kartezyusz na te kwestye odpowiedzi nie daje. Nazwaliśmy ten brak wadą ogólną, gdyż, co prawda, nikt jeszcze dotąd z filozofów tej kwestyi nie rozwiązał, ale Kartezyusz o jej rozwiązanie nawet się nie pokusił.

Otóż te właśnie wady szczegółowe i ten zasadniczy brak ogólny w filozofii Kartezyusza przedsięwziął usunąć i wyrównać Spinoza, którego naukę już teraz w krótkości przedstawić możemy.

(*d. n.*)

CÓRKA ROLANDA

Dramat w czterech aktach

PRZEZ

Henryka Bornier

przekład Konstantego Goniewskiego.

(Dokończenie).

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia dekoracyę tę samą jak w akcie poprzednim.

SCENA I.

Gerald, Berta, ks. Nayme, Ragenhardt, Amaury, Geoffroy, Hardré, młodzież obojga płci.

Ks. Nayme.

(stojąc na lewo).

Dziewico i młodzianie zbliżcie się oboje,
Jesteś Gerald z Montblois? Berta, imię twoje?

Gerald i Berta.

Tak książę.

Ks. Nayme.

Mając czynność sobie poruczoną
Ja—książe Nayme, za świadków biorąc całe grono,
Mam spełnić dziesiętnika urząd mi zlecony,
Monarcha chce, by został w ten sposób uczczony
Związek ten, jak najświetniej...
Zgodnie więc z prawami
Postąpcie i zamieńcie swe dary przed nami.
Lecz w imię tych praw, których nikt łamać nie może
Wprzód jeszcze małżonkowi uwagi przełożę,
By po ich rozważeniu, miał swobodne drogi
Do odwrotu, nim ślubne przestąpiłby progi.
Geraldzie! Był mąż w czasach bohaterskiej sławy
Wielki, z pośród największych, a z najprawszych — [prawy.
Lat dwadzieścia widziano, jak szedł bozkim torem
Pod swą białą chorągwią i płomiennem piórem,
Przez nienawiść dla zbrodni, odwagą zagrzany,
Nadewszystko szlachetny, z wspaniałości znany,
W ów wieczór pod Roncevaux w złowrogiej dolinie
Olivier konający, gdy lżył zdrajcy imię,
„Zamilcz!... rzecze mu Roland, dość gorzkiego słowa
Przede mną—męża matki, niech szczędzi twa mowa!"
Imię Rolanda dotąd sławą się rozszerza,
Świat czci w nim męczennika, jak wielbił rycerza,
Tak dalece, że jako wzniosły przykład słynie

Grób Rolanda, który mu służy za świątynię.
Takim był ojciec córki, którą masz przy sobie,
Geraldzie! Zanim wiarę zaprzysiężę tobie
Zajrzyj w twe prawe, wierne serce, czy nie skryło
Nic takiego, coby w niem niegodne jej było?

Gerald.

Nie panie dziesiętniku, spokojny w tej mierze,
Ziemię z denarem niosę na tarczy w ofierze.

(przedstawia Bercie tarczę, która ją przyjmuje i oddaje jednej z dziewic za nią stojących).

Ks. Nayme.

A teraz pani Berto, ceniąc zwyczaj stary
Oddaj narzeczonemu twoje ślubne dary.

Berta.

Ja panie dziesiętniku, przed was, w darze jemu
Składam płaszcz i miecz, jako mężowi przyszłemu.

(jedna z dziewic podaje Geraldowi płaszcz i miecz, które on składa na ręce jednego z orszaku).

Ks. Nayme.

Teraz ojciec — potrzeba do ślubów spełnienia
By swą wolę dołączył do syna życzenia.
Przystąp hrabio Amaury—oto narzeczeni
Bez was wszakże, nie mogą zostać połączeni
Wyrzeknij!

Amaury.

(postępując zwolna).

Mój książę... wybacz me zmieszanie...
Zda się—zaszczyt za wielki, sprawił sił złamanie,
Chciałbym, w dniu, który kładzie zasługę na szalę
By ojciec znikł zupełnie, w swego syna chwale.
Po tem, czego dokonał, lub zdziała na nowo,
Syn mój, prawdziwym rodu jest panem i głową!
Jam niczem—nic nie mogę—oprócz serdecznego
Czucia, drżenia z miłości, na wspomnienie jego.
Spełnijcie co on życzy.

Gerald.

Na Boga! mą chwałą
Ojcze—żem szedł twym śladem... to zasługą całą.

Amaury.

Co wyrzekłem Geraldzie, przy tem silnie stoję,
Jam przeszłością — ty w przyszłość kieruj kroki [twoje!

Ks. Nayme.

Dobrze hrabio Amaury! Niech się jawnem stanie
Dla wszystkich, w imię prawa, zwrócone pytanie
Czy w duchu tego prawa, kto z was nie wyrzecze
Powodów zaprzeczenia związkowi.

Ragenhardt.

(występując).

Ja przeczę!

Gerald i Berta.

Ragenhardt!

Amaury.

Ten Saksończyk!

Ks. Nayme.

Ach pojmuję! W łonie
Zwyciężonem, budzi się nienawiść—Saksonie
Możesz mówić—słuchamy.

Ragenhardt.

Nienawiść?... rzekliście...
Jam cierpiał, nienawidził, łżyłem rzeczywiście,
Byłem — zanim mię natchnął Bóg uczuć prawością,
Nienawiścią... lecz dzisiaj... jam sprawiedliwością!
Pani Berto, Geraldzie, różnim się plemieniem.
Lecz gdybym nienawidził, stałbym tu z milczeniem,
I złączyć pozwalając to złowrogie stadło
Przemówiłbym, lecz wtedy, gdy wszystko przepadło
A więc nie! nie! ja tego uczynić nie mogę,
Ocalić was, nim w zgubną udacie się drogę.

Ks. Nayme.

Mów więc jaśniej.

Wszyscy.

Tak powiedz!

Amaury.

Wzgardźcie jego mową
To nasz wróg.

Ragenhardt.

Bądź ostrożny! ty! którego zową
Amaurym!

Amaury.

Czem ty grozisz? na czem zarzut wspierasz?
Jakim sławę i cnotę syna poniewierasz?

Ragenhardt.

Ja jej nie poniewieram, raczej bronię jego.

Amaury.

Przeciwko komu?

Ragenhardt.

Tobie!

Ks. Nayme.

Mów więc! żądam tego!

Amaury.

Nie! Wy go nie słuchajcie! On was kłamstwem łudzi
Jam mu życie darował, to żal we mnie budzi.

Ragenhardt.

Żal budzi?... ty powiadasz... inny czyn nie plami?
Ten człowiek, co uściskiem śmie się bratać z wami
Znany nam z swej przeszłości. Imię wam odsłonię
Bo znam jego prawdziwe.

Amaury.

Ty kłamiesz Saksonie!
Ty kłamiesz!

Ragenhardt.

A więc dobrze, przed cesarzem stanę,
Jemu złożę dowody, mam je niekłamane,
Tak! dowiodę że człowiek którego tu macie
Zowie się...

Amaury.

(przystępując do niego, mówi głosem przytłumionym).

Milcz! nie tutaj!... nie przed nim!...

Ragenhardt.

Przyznacie
Żem więcej szlachetności od hrabi zachował,
Boś ty—przed okiem syna—ojca zamordował!
Chciałbym szczędzić Geralda, lecz to nie w mej [mocy
Cienie ofiar, trułyby spokój moich nocy!
Tyle mogę uczynić, co niech zadość stanie,
Nie moje, lecz twe własne, niech słyszy wyznanie.
Jeśli chcesz... mów do syna... mów własną osobą.

Amaury.

Dobrze... zostań Geraldzie.

(do zgromadzonych).

Zostawcie nas z sobą!

Berta.

Cóż to? Boże! nad nami groźbę burzy czuję!

Geoffroy.

(do ks. Nayme wskazując na Amaurego).

Patrzcie! jaka mu bladość na twarz występuje.

Ks. Nayme.

Prawda!

Geoffroy.

(zwracając się do Ragenhardta).

Kimże więc jesteś?... że oczy zdumione...

Ragenhardt.

Jestem sprawiedliwością! Ustąpmy na stronę.

SCENA II.

Gerald i Amaury.

Gerald.

Mój ojcze... ten Saksończyk... to człowiek szalony
Jak myślę?

Amaury.

Nie.

Gerald.

Obelga taka z jego strony
Rzucona nieznanemu...

Amaury.

Ja mu jestem znany.

Gerald.

Więc obelga?...

Amaury.

Jest słuszną!

Gerald.

O! Panie nad pany!
Dreszcz mroźny serce ścina!

Amaury.

Miej duszę odważną!
Zkąd ten człowiek wie prawdę, to rzeczą mniej ważną.
Słuchaj! Amaury, nie jest me prawdziwe miano.
Moją nazwę, przekleństwa piętnem cechowano.
Człowieka, który nosił to imię złowieszcze
Sądzono zmarłym dawno.

Gerald.

Więc?

Amaury.

On żyje jeszcze.
Tajemnicę zna Sakson, zna król — i daremnie
Ganelon krył się w grobie.

Gerald.

I on?

Amaury.

Żyje we mnie.

Gerald.

Ach! Berta!

Amaury.

Zacne serce! O! wielka cierpieniem
Duszo! twa pierwsza skarga, nie jest złorzeczeniem!

Gerald.

Złorzeczyć?... tobie?... nigdy! Nawet w taką chwilę...
Ileż musiałeś cierpieć, gdy ja cierpię tyle!

Amaury.

Ach! przemów nienawiścią, niechby złość groziła,
Pragnę twej wzgardy, byle twej trosce ulżyła!

Gerald.

Pogardzać?... tobą?... nigdy!... Tyle uznać umiem
Że ja, dziecko, przez ciebie powinność rozumiem.
Honor, dumę, odwagę, poświęcenie — zgoła
Wszystko dobre — to owoc potu twego czoła.
Mniejsza o to, duch jaki z prawych dróg cię zgonił,
Jam zawsze synem twoim!...

Daj bym łzę uronił.

Ach! w owym dniu niedoli, kiedy ją poznała
Matka moja!... nieprawdaż?... taką łzą płakała.

Amaury.

Geraldzie?...

Gerald.

Nie przemawiaj! nie wyrywaj stali!
Zostaw ostrze, niech silniej w ciele się utrwali!
Ja — com pomniał na dumę, na me poświęcenie,
Na waleczność!... Niestety! milcz pychy marzenie!
Teraz sobie tłomaczę, złe, co mię trapiło.
To straszne, to głębokie, chmurne... to to było!
Ta spuścizna nieszczęsna, od której człek wcale
Nie ma sposobu uciec. Mój ojciec ją w dziale
Może przyjął! Tak prawda—wielka prawda! czuję
Tajemniczą istotę, co we mnie nurtuje
I me dawne jestestwo nagle mi odbiera,
Swoją duszą mię szpeci, a moją wydziera!
Ja stąpam jej krokami, ja mówię jej głosem!
Nie! nie! nie chcę się godzić z tak okropnym losem!

Amaury.

Geraldzie... lecz ja nie mam prawa przemówienia,
Twoje spojrzenie starczy, do mego zgnębienia,
Karol Wielki w litości, wczoraj przebrał miarę,
Bóg surowszy—twą boleść zesłał mi na karę!

Gerald.

Moją boleść!... tak... prawda! Źlem pojął zadanie,
Ten tyrański cios losu — ugodził mię — w stanie
Tchórzostwa. Cios to straszny! lecz ja pod razami
Drżałem z bólu—jak dziecko, zalałem się łzami!
Teraz jestem człowiekiem — duszą, męzką więcej,
Oddalam precz od siebie, płonny żal dziecięcy.
Jam winę uszanować, nieszczęście zrozumieć
Był powinien — przed tobą, boleść w sobie stłumić:
Lecz zadośćuczynienie, ja sam i w tej dobie
Znaleźć muszę najwyższe i w świetnym sposobie.
Aby honor odkupić, drogi dla nas obu,
Niebo sił mi udzieli, dostarczy sposobu.
Jeśli mą ranę jaki środek zgoić może
Jam gotów znieść najsroższy!... Dopomóż mi Boże!

Amaury.

Bóg cię natchnął Geraldzie! Odtąd zdaniu twemu
Daję słuszność, a sam się poddaję wszystkiemu.
Jadę, bo tak potrzeba — los mój, już skończony
Cień, jakim na cię rzucił, będzie rozproszony.
Ale pozwól zbiegowi, nim ten próg przekroczy,
Do łez wstydu—niech dumy łzę uronią oczy.
Ty—ze zgrozą, przez litość tłumioną jedynie
„To mój ojciec! niestety! myślisz w tej godzinie:
Lecz ja, dumą nieznaną, dumny będąc z ciebie
Wybacz mi „to jest syn mój" tak mówię do siebie.

Gerald.

Ojcze!

Amaury.

Bądź zdrów Geraldzie!

Gerald.

Ojcze!

Amaury.

Kiedyś — może
Chciałbym wkrótce, lecz któż z nas, zgadnie sądy [Boże!
Kiedy to życie dla mnie, karą być przestanie,
Gdy pamięć po mnie ledwie odległą zostanie,
Geraldzie! mimo zbrodni, której nic nie zmyło,
To nędzne serce — pomyśl — że dla ciebie biło.
Dziś karę — tę najsroższą, w całej mocy czuję
Że twój uścisk dla siebie zamkniętym znajduję.

Gerald.

(otwierając mu ramiona).

O mój ojcze!

Amaury.

Mój synu! Już cię żegnać muszę,
Bądź zdrów synu!... za chwilę żal złamałby duszę.
Nadchodzą—ja uciekam. Wstyd skryłby mię w ziemi
Gdyby ojciec wraz z synem miał stanąć przed niemi.

(Amaury wychodzi na lewo. Gerald pozostaje nieruchomy na przodzie sceny i zwraca się nawpół na widok Karola W. i Berty, ks. Nayme i całego dworu, którzy wchodzą w głębi).

SCENA III.

Amaury, Karol Wielki, Berta, ks. Nayme, Geoffroy, Hardré, Ryszard i orszak.

Gerald.

(na stronie).

Otóż i cesarz... matki mojej brat rodzony,
Książę Nayme... ci przez których byłem tak wiel- [biony!
Berta! Berta! o Boże!... czyś mię przeklął Panie?

Karol W.

(w głębi, otoczony całym orszakiem).

Geraldzie, właśnie Sakson zrobił nam wyznanie.
Grom w szlachetne twe serce padł z Boga ramienia,
Brakło mi do twej chwały Geraldzie cierpienia!
Baronowie! książęta! i wszyscy rycerze!
Wy sądźcie jeśli sądem ja zbłądzę w tej mierze.
Wczoraj, wszystko wiedziałem. Do mnie należało
Jak zbrodnię tak i chwałę, odkryć jawnie całą.
Alem zbłądził, chcąc skrytą w długiem zapomnieniu
Tajemnicę, w mem łonie, przechować w milczeniu.
Bo król, winien nad wszystko, nie bacząc na [względy.
Sam chętnie słuchać prawdy i prawdę nieść wszędy.
Błędu mego, dzisiejsze zdarzenie dowodzi.
Dajcie wyrok—bez względu czy się z moim zgodzi.
Niegdyś, w ów dzień boleścią własną pamiątkowy
Zebrałem z dostojników trybunał sądowy,
I o związku mej córki, przed tym trybunałem
Emmy i Eginhardta, sam wieść podawałem.
Jak niegdyś ci sędziowie—tak wy, bezwątpienia
Będziecie dobrzy—prawi. Słucham wyrzeczenia.

Ks. Nayme.

(podsuwając się ku Geraldowi).

Geraldzie, po Roncevaux nazajutrz w rozprawie
Gdzie jeden na dziesięciu walczył dwa dni prawie,
Przez Maura Danabeis, padłem zwyciężony.

(pokazując czoło).

Oto widne ci ślady rany zagojonej.
Tobie chwała Geraldzie! twą świetną rozprawą
Zbawiłeś honor ojca! Do dumy masz prawo
Bohaterze od Boga dany... oto staje
Książę—starzec przed tobą i hołd ci oddaje.

Hardré.

(podsuwając się ku Geraldowi).

Chwała tobie Geraldzie! Jestem pozostały
Ostatni syn barona Angelier dla chwały
Wiary—on pod Roncevaux, dał ostatnie tchnienie,
Przyjmij w tej chwili, mojej dłoni uściśnienie.

Geoffroy.

(podchodząc ku Geraldowi z młodszym bratem).

Pod Roncevaux, w ów wieczór, kędy bój wrzał krwawy
Padł Turpin arcybiskup, pod koniec rozprawy
Blizko Rolanda. Roland, choć bólu łzy roni
Pospiesza zwłok odszukać towarzyszów broni.
Do stóp arcybiskupa przyciąga nieżywych
Księcia Sancho, Anseja — innych nieszczęśliwych,
A pasterz za poległych śląc modły w niebiosy,
Sam skonał błogosławiąc męczenników stosy.
Hugo i ja, Turpina my siostrzeńcy oba,
Będziemy braćmi tobie, gdy ci się podoba.

Ryszard.

(postępując wolnym krokiem ku Geraldowi).

Wybacz... mości Geraldzie... stary wiarus... w słowie
Niewymowny... Łzy... głupstwo! przecież wam wy- [powie
Niemi wdzięczność... na klęczkach całując dłoń waszą
Co pomściła Rolanda i niesławę naszą.

Karol W.

(powstając z tronu).

W ów wieczór, pod drzew cieniem, po zadanych ra- [zach,
Jakie tylko miecz jego, mógł szczerbić na głazach,
Rozpoznałem Rolanda. W uścisku serdecznym
Poprzysięgłem żal zwłokom, że zostanie wiecznym.
Później, wszędy, w krwią jego pobroczonej trawie
W koło zwłok bohatera, szukałem ciekawie
Miecza jego: lecz próżno—i to mi okryło
Serce ciężką żałobą, bom wiedział, że było
Jego największą dumą, spocząć z mieczem w grobie,
A jam rękom niewiernych dał go wydrzeć sobie!
— Tobie wdzięczność Geraldzie, za piękniejszą chwilę
W której—z tym mieczem świętym, złączę go w mo- [gile.
Dla ciebie wieczna chwała w ojczyzny pomszczeniu,
Bądź dumny w twej boleści, w twej duszy cierpieniu,
I zajmij daneć miejsce, w nagrodę twych czynów,
Na stopniach mego tronu, obok moich synów!

Ks. Nayme.

Bądź dumny!

Wszyscy rycerze.

Tak—bądź dumny!

Karol W.

I ty przemów słowo
Berto! Ty córko moja, co godność rodową
Tak świetnie podtrzymujesz. Niech tu każdy wyda
Sąd swój i swe świadectwo.

Berta.

Cóż tu głos mój przyda?
Tu jeden wyraz starczy. Ołtarze gotowe
Jam gotowa — Geraldzie! czemu spuszczasz głowę?

(gdy Gerald nie zmienia postawy).

Czemu oczy odwracasz? Ach! Geraldzie czemu
Milczysz upornie? Sercu nie ufasz mojemu?
Chceszże abym tu głośnym zeznała wyrazem,

(zwracając mowę do otaczających).

Że ja kocham Geralda i czczę go zarazem.
Że go serce tem tkliwszem uczuciem miłuje
Bo w nim, cios ten, zacności wcale nie ujmuje.
Cześć jego, nieskalaną wyszła z mąk cierpienia,
Bo źródło nie zatruło czystego strumienia.
Duszą mą, już w Montblois, on posiadł jedyny,
Tam, za cnotę młodzieńczą, tu, za nowe czyny.
Czarną zdradąby serce moje się splamiło
Mniej wielbiąc w poniżeniu, niż w chwale wielbiło.
A teraz — pójdź Geraldzie!

Karol W.

Spiesz więc do ołtarzy
Przyjąć dłoń, którą Berta raz drugi cię darzy.

Gerald.

Błogosławię was z głębi mej duszy zgnębionej,
Lecz panie, nie przyjmuję łaski mi świadczonej.

Berta.

Geraldzie! o mój Boże!

Gerald.

Nie chciejcie mi bronić
Panie — Berto — i wszyscy, powód wam odsłonić.
Tak panie, ja tej łaski — dobra — jakie daje,
Tylko przez odmówienie, godnym się być staję.
Słyszę głos, co nie kłamie: żem ja zbrodni synem
A nie żalu za winy. Jeśli własnym czynem
Mam dać naukę drugim — by wznioślejszą była,
Chcę, by moja niedola zbrodnię przewyższyła!
Może snadniej dla ojca zjedna przebaczenie

To — syna niewinnego siebie potępienie,
Inaczej, mówionoby, głosząc czyn spełniony,
Że zadośćuczynieniem grzech nieokupiony.
I wolę, raczej serce złamać tej godziny
Niż kiedyś się doczekać zarzutu tej winy.
Tak... wy sami—wy wszyscy, którzy ból dzielicie,
Którzy w strasznej obawie otuchą darzycie,
Wkrótce wybuch serc zacnych w współczuciu ży-
[czliwem
Wstrzymalibyście może, widząc mię szczęśliwym.
Ojciec wygnańcem z kraju, ja za nim podążę,
Tak trzeba! los na zawsze kroki nasze wiąże!
Oby nieszczęście moje wam przykładem było:
Zdradę — to piekieł tchnienie — zwalczcie całą siłą
Pomnąc na dzieci wasze! Takiej zbrodni — snadno
Pokolenia — wiecznemi ofiarami, padną!
A wtedy — ni wyrzuty — ani łzy niczyje
Ni potok wód niebieskich, tej zbrodni nie zmyje.

Berta.

Chcesz nas rzucić!

Gerald.

Tak Berto!

Berta.

Ach! jeślim ci droga
Nie bądź ty jeden dla nas okrutnym na Boga!

Gerald.

Nie śmiem kochać cię dłużej!

Berta.

A ja... a ja... Boże!
Cóżem winna, że dłoń twa, tak mnie ranić może?

Gerald.

Los jedynie nas rani.

Berta.

Gdy go trudno zmienić
Sam chociaż nie gub szczęścia!

Gerald.

Chcesz bym się rumienić
Za nię musiał?

Berta.

Patrz w przyszłość.

Gerald.

Nadto w przeszłość patrzę.

Berta.

Więc jeśli przed twem okiem nic ci jej nie zatrze,
Jeśli ci cesarskiego nie dość przebaczenia,
Trzebać rozkazu z nieba? Zmarłych przemówienia?
Zatem Geraldzie w imię ojca mego...

Gerald.

Ciszej!
Niechaj Berto słów twoich, mój ojciec nie słyszy!

Berta.

(padając w objęcia swych towarzyszek).

Ach! więc nie ma nadziei!

Gerald.

(zwracając się do Karola W.)

Przed jej łzami—panie!
Obroń mię! Wbrew sumieniu, jam działać nie w stanie.
Nadzieja... w oczach własnych, ohydzić nie może.
Córka Rolanda... z synem... sprawiedliwy Boże!
Nie!... nigdy! Dziś w niej litość budzi udział żywy,
Lecz jutro... Tyś mię pojął panie miłościwy!

Karol W.

Masz słuszność! Król twój—pan twój i sędzia—w tym
[względzie
Za nadmiar cię honoru potępiać nie będzie:
Lecz wyrok ostateczny głoszę-ć króla słowy.
Wczoraj, z miecza Durandal, byś skruszył okowy
W mój miecz ciebie zbroiłem. Dziś lepiej uczynię,
Trzeba, niech cena męztwa twego głośniej słynie:
Chcę aby miecz Durandal, był odtąd twą bronią,
Roland, byłby w twe ręce zdał go własną dłonią.
Miecz szlachetny, przez ciebie z więzów wyzwolony!
Nim się pomścij na wrogach — on ich krwi spra-
[gniony.
A gdy spełnisz, co jeszcze uczynić należy,
Od zachodu do wschodu, gdy z tobą przebieży
Tę ziemię i z niej wrogów zgoni startych w pyle,
Miecz odniesiesz by złożyć w Rolanda mogile.

Gerald.

Tak panie! w Akwitanii w jego grób zagrzebię,
A potem pójdę dalej szukać go dla siebie.

Berta.

Jeśli śmierć cię oszczędzi?

Gerald.

Starania dołożę
I takim pójdę krokiem, że ją znajdę.

Berta.

(po niejakiej chwili milczenia).

Boże!
Stało się!... ja cię kocham... posłusznam twej woli,
Bóg jedne dał nam serca—niech je Bóg zespoli!
Żegnam cię! mój Geraldzie!

Karol W.

Książęta! baroni!
Nieście cześć tej wielkości!... nam daleko do niej!

(Gerald z mieczem Durandal w ręku, oddala się przechodząc w pośrodku rycerstwa, które mu cześć oddaje zniżeniem ku ziemi swych mieczy — podczas gdy Berta ręką wskazuje na niebo).

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii,

przez **Alberta Vandal.**

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

W miesiącu grudniu 1708 roku armia szwedzka oblegała twierdzę, której bronił garnizon duński. Szwedzi byli pewni zwycięztwa, gdyż dowodził nimi wódz który od lat dziesięciu słynął w Europie, bo zwycięzca czy zwyciężony zawsze umiał pozostać wielkim. Karol XII wróciwszy z wybrzeży morza Czarnego i stepów Ukrainy, wyruszył na zdobycie Norwegii. Pomimo zimy kazał sypać okopy pod Frederikshaldem; grunt był tak zmarzły że drągi okute żelazem łamały się nie mogąc go przebić; trzeba było kuć jak w skale. Król podzielał trudy i niedostatki żołnierzy. Pomimo trzydziestu stopni mrozu, sypiał na ziemi okryty żołnierskim płaszczem. Nie wiele jadał a przez pięć dni nic do ust nie wziął, aby się przekonać co może wytrwać człowiek obdarzony silną wolą. U niego duch despotycznie panował nad ciałem.

Dnia 10 grudnia 1708 r. Karol przebiegał okopy, doglądając robót oblężniczych; niecierpliwił się i łajał oficerów skarżąc się na opieszałość pracy. „Za ośm dni, rzekł stojący obok niego inżynier francuzki, Mégret, W. K. Mość będziesz panem twierdzy“.

Król wsparł się o parapet wału i przez szańce nieprzyjacielskie starał się poznać przygotowania do obrony; kule świstały koło niego. Dwóch Francuzów tylko stało przy jego boku; inżynier Mégret i adjutant Segnier, wierny towarzysz Karola XII w jego kampaniach na Ukrainie i w Turcyi. W tem postrzegli że król zachwiał się i westchnął: kula pół-funtowa ugodziła go w skroń i przeszyła mózg. Padając już, Karol XII jeszcze instynktownie skierował rękę ku rękojeści szpady. Segnier zarzucił na martwe zwłoki swój płaszcz, nakrył chustką zakrwawioną twarz i tak przeniesiono cichaczem poległego króla do namiotu, aby wiadomość o jego śmierci nie oddziałała zgubnie na żołnierzy.

Wylądowawszy w Friderykshald, poszliśmy zobaczyć miejsce w którem padł Karol XII; położono na niem pochyloną płytę marmuru, uszkodzoną bardzo przez wilgoć i czas. Frederikshald został zdobyty przez Szwedów, ale dopiero przeszło w sto lat później, za Bernadotte'go, w 1814 r.

Z Frederikshald, przebyliśmy w kilka godzin kariolką drogę do granicy Szwecyi.

Południowa część Szwecyi cała poprzerzynana jest kanałami; wielkie to dzieło unieśmiertelniło ich twórcę, inżyniera Erikson'a. Kanały te łączą z sobą jeziora, ułatwiają komunikacyą między rzekami i nastręczają handlowi i turystom, dogodniejszy i prędszy sposób przesyłania towarów i podróżowania. Kanałem Dalsland odbywamy w przeciągu dwudziestu-dwóch godzin, drogę od granicy norwegskiej do jeziora Wenern, którego wody burzą się niekiedy jak fale oceanu. Jest to, po Ladodze w Rossyi, największe jezioro w Europie, ale sama niezmierzoność wodnej jego powierzchni, nie mającej pozoru jeziora a nie będącej morzem, ujmuje mu piękności. Mówią że gdy słońce pochyla się ku zachodowi, ukazują się często żeglarzom na powierzchni bezmiernego jeziora pływające miasta i wyspy znikające za zbliżeniem, oraz jakieś niewyraźne postacie pałaców.

Zwiedziliśmy sławne kaskady Trolhatta. Ani spadek Renu w Szafhauzie, ani kaskady Norwegii nie mogą dać o nich wyobrażenia. Podczas gdyśmy je zwiedzali, okręt nasz płynąc kanałem, przesuwał się wężowato przez różne zakręty. Z wielkiem zadziwieniem postrzegliśmy go nagle o trzysta stóp po nad naszemi głowami, unoszący się nad olbrzymiemi schodami wykutemi w łonie góry. Każdy schód tworzy jakby kolosalne koryto naprzemian napełniające się i wypróżniające, w ten sposób iż podnosi lub obniża powierzchnię wód, w miarę spuszczania się okrętu.

Po za Trolhatta zmienia się postać kraju, wzgórza zastępują góry, piękne murawy pokrywają wybrzeża kanału. Do koła rozlegają się urodzajne pola i bogate posiadłości; niekiedy sterczą zgliszcza starego zamczyska, chwiejące się szczątki feodalnej Szwecyi. Ruiny te mają swoje legendy jak ich nadreńskie siostrzyce. Oto starożytny zamek Torpa, siedlisko znakomitej rodziny Steinbock'ów, która dostarczyła Szwecyi sławnych wojowników i z której wybrał sobie małżonkę Gustaw Waza.

Monarcha ten w późnym już wieku zakochał się w pięknej Katarzynie Steinbock; oświadczył się o jej rękę i naturalnie otrzymał; lecz nowa królowa zachowała w sercu niezłomne uczucie dla pięknego Nils Brahé, narzeczonego, z którym w dziecinnych jeszcze latach była zaręczoną. Ani dobroć i przywiązanie króla, ani blask tronu nie zdołały zatrzeć w jej sercu obrazu ukochanego, i pewnej nocy król Gustaw usłyszał ją mówiącą przez sen: „Czczę i szanuję mego męża i pana, ale kocham zawsze Nilsa Brahé; serce i miłość moja do niego należy“. W obec tego mimowolnego czy też nader zręcznego wyznania, król Gustaw umiał okazać się tak bohaterskim jak na polu bitwy w Delekarlii, poświęcił swoją miłość dla szczęścia Katarzyny, zażądał rozwodu i wrócił Tiho-Brahé'mu wierną jego narzeczoną.

Po nader zręcznem manewrowaniu, okręt nasz stanął w zatoce Gotenburgskiej. Gotenburg jest drugiem miastem Szwecyi, lecz gdyby ktoś czarodziejską laseczką przeniósł go do Hollandyi, Anglii

lub Niemiec, nie poznałby że nie jest u siebie. Jak w Amsterdamie ulice są tu poprzerzynane kanałami, otoczonemi szerokiemi chodnikami, jak w Manchester lub w Liverpolu, gmachy i pomniki kształtują się na podobieństwo świątyń greckich, co nie bardzo jest właściwe pod niebem Północy. Nakoniec wysokie domy Gotenburga przypominają piękne dzielnice Hamburga, ale daremnie szukałby w nich jakiejś cechy szwedzkiej narodowości. Żeglarzom miasto to przedstawia port pewny i dogodny; handlującym, obszerne składy i ześrodkowanie interesów; mężom stanu, marzącym o połączeniu pod jednem berłem trzech królestw skandynawskich, przedstawia gotową stolicę, leżącą w samym środku nowego państwa, a podróżnikowi który nie jest ani marynarzem, ani handlującym, ani mężem stanu, Gotenburg przedstawia się jako miasto czyste, z dobrze wyciągniętemi ulicami, otoczone do koła licznemi przechadzkami. Kościoły są tu nowe, domy stawiane pod linię, ulice szerokie, giełda obszerna, poczta monumentalna. Dla uzupełnienia obrazu, dodam że można tu przechadzać się całe godziny i ani razu się nie zabłąkać.

XI.

Kopenhaga. — Ateny i Berlin. — Exner. — Muzeum Thorwaldsen'a. — Giełda. — Rosenborg. — Objady galowe. — Niemcy i język niemiecki w Kopenhadze. — Wtargnięcie rozbójników morskich w XIX wieku. — Rozrywki. — Tivoli. — Wycieczka do Helsinor. — Sund. Gościnność skandynawska.

Płyniemy po cichych falach Sundu; na lewo, na wybrzeżu szwedzkiem widać zdala urwiste skaliste wybrzeża ozłocone pierwszym blaskiem przedświtu; na prawo, wybrzeże duńskie kryje się pod świetną roślinnością. Po nad falami piętrzą się kopuły z zielonych liści, kąpią w nich swe gałęzie, rzucają cień a niekiedy rozsłaniają się i ukazują jakiś pałac z wysmukłemi wieżycami lub ładną jakąś wioskę kryjącą się po za przystanią. Tu i owdzie dziwne jakieś kształty wyłaniają się na horyzoncie, ukazują się powoli po nad falami, mgła poranna je osłania i fantastyczną nadaje im postać. Zdaje nam się iż widzimy jakby czerwone minarety, przysadziste kopuły, wieże mające odbłysk roztopionego metalu, i w pośród lasu dzwonnic jakieś strzały dziwaczne, krzywe, pokręcone, potwornie sterczące ku niebu. Jestże to skutek złudnego mirażu? Czy napotkaliśmy tę pływającą wyspę, której tak obawiają się żeglarze Północy, która czarodziejską siłą wabi do siebie ich okręty a zbliżone rozbija swe o spiżowe łono? Dla uzupełnienia złudzenia spostrzegamy całą flotyllę, rozrzuconą po przestrzeni i kierującą się ku temu tajemniczemu biegunowi. Szybkolotne bryki, spiczaste galioty, dobrze zaopatrzone lugry (statki kupieckie) i łodzie rybackie, żeglują w jedną stronę, pociągane jakiemś tajemniczym magnesem. Nasz sztemer idzie za wspólnym popędem; posuwa się, przyspiesza biegu, nareszcie dopływa, i złudzenie znika. I nagle płaskie bateryje, uzbrojone działami Kruppa i Armstronga, pokazują się po nad falami; szyldwachy, okryci czerwonemi płaszczami, przyglądają nam się z głębi swoich budek, pomalowanych kolorami króla duńskiego; celnicy rozstawieni na wybrzeżu czyhają na swoją zdobycz. Ta wyspa pływająca, to stolica zbudowana na powierzchni wody; dzwonnice nie są z bronzu ale z cegły; co zaś do dziwacznej strzały którą spostrzegliśmy z dali, ma ona rzeczywiście dziwną i fantastyczną postać, wygląda jakby skręcone ogony czterech olbrzymich smoków, ale zakończa gmach jak najpraiczniejszy giełdę kopenhagską.

Jesteśmy w środku basenów miasta; ciągną się one długim szeregiem, rozdzielają, wikłają i wkraczają aż w samo serce handlującej metropoli. Statek nasz przesuwa się w pośród tłumu odpływających okrętów; na wybrzeżu panuje ruch i życie stolicy; pięcio-piętrowe domy z cegły, wszystkie jednakowo czerwone, upstrzone szyldami od dołu do góry, ciągną się prostym szeregiem. Gdzie niegdzie stary jakiś dom przerywa jednostajność perspektywy; promienie słońca igrają w kolorowych jego szybach. Dom taki, to jakiś zabytek przeszłości, szczątki dawnej Kopenhagi, ocalone cudem od pożarów, kul angielskich i manii upiększeń.

Okręt nasz zajął w porcie zwykłe swoje miejsce, między dwoma innemi okrętami; chmara posługaczy zaległa pomost; oficer celny zbliża się do nas. Sądziliśmy że zamierza rewidować rzeczy i ulegając tej konieczności między-narodowej, podajemy mu klucze; odsunął je z uśmiechem i zapytał bardzo poprawnie po angielsku, po co przybywamy do stolicy J. K. Mości.

Dziś zapytanie to jest prostą formalnością, ale wiek czy dwa temu był to środek nadzorczy. Kopenhaga bogata, hulaszcza i zepsuta, przyciągała do siebie próżniaków i trwonigroszy ze wszystkich trzech królestw skandynawskich; uganiający się za rozkoszami i hulatyką zjeżdżali się w stolicy i puszczali wesoło całe mienie. Synowie poważnej Norwegii stawali się zniewieściałymi przez przebywanie w zatopionej w rozkoszach stolicy. Rząd zwrócił na to uwagę; aby temu zapobiedz wydano postanowienie: wzbraniające mieszkać w stolicy każdemu kto ważnemi powodami nie usprawiedliwi przybycia; dla samej zabawy nie wolno było przyjeżdżać do stolicy. Do dziś dnia przechowało się między ludem przysłowie; „Gdy młody jedzie do Kopenhagi, szczęśliwa matka jeśli wróci choć w jednej koszuli".

Obdarzeni pasportem komory, udaliśmy się do hotelu angielskiego; aby dojść do niego musieliśmy przejść całą arystokratyczną dzielnicę miasta. Pomimo rannej godziny, ludność uwijała się w porcie, widać było że działa i pracuje; ale w arystokratycznej dzielnicy, dzień zaczyna się o kilka godzin później. Mijaliśmy długie i szerokie ulice, czyste i dobrze utrzymane, ale dotąd zupełnie puste. Z obu stron wznosiły się wysokie domy, wszystkie zupełnie czworokątne, możnaby je wziąść za koszary. Niekiedy mijaliśmy się z patrolem grenadyerów, których twarze kryją się pod ogromnemi futrzanemi czapkami; na ulicy rozlegają się ich kroki ciężkie i miarowe, właściwe żołnierzom północy. Pełno pałaców, a wszystkie do siebie podobne. Wchodzimy na plac który mógłby służyć za plac mustry; w głębi widać rozległy skwer, a w nim wielkie aleje wysadzone małemi drzewami. Sklepy przy placu otwierają się i prezentują świetne wystawy; nowe pałace przedstawiają swe fasady podparte kolumnami doryckiej architektury. Młody Duńczyk służący nam za przewodnika, przekracza bez ceremonii próg jednego z tych pałaców; idziemy za nim. Właściciel hotelu angielskiego wita nas najuprzejmiejszym uśmiechem i wprowadza do pysznego apartamentu, z powagą mistrza ceremonii wprowadzającego ambasadorów.

Kopenhaga została nazwaną Atenami Północy, może raczej trzebaby powiedzieć że mieszkańcy Kopenhagi są Ateńczykami rozstawionymi w koszarach miasta podobnego do Berlina. Inteligencya Duńczyków, ich smak ukształcony i zamiłowanie w literaturze i w sztukach, ich gładkie obyczaje, nadawałyby im prawo do miasta Peryklesa, ale nie może być nic mniej podobnego do Akropoli lub Propyleum, jak Kopenhaga w której wszędzie przeważa linia prosta: ulice są wyciągnięte pod sznur, a architektura przybrała jakiś odcień sinawy i jednostajnie smutny. Kopenhaga podobna jest do niektórych osób, które z pierwszego wejrzenia wydają się zimne i nieprzystępne, a bliżej poznani chwytają za serce. To miasto bez odrębnej cechy, zawiera w swych murach szacowne zbiory i nieocenione arcydzieła. To kasetka małej wartości, wielkie zawierająca w sobie skarby.

Katedra Frue Kirke, na zewnątrz wydaje się pospolitym obszernym budynkiem, lecz wszedłszy w jej mury ujrzemy Chrystusa i Apostołów Thordwalsen'a, jeden z najznakomitszych utworów tegoczesnej rzeźby. Pałac Christyanborg wygląda jak koszary, mające pretensyą do architektury, ale mieszczą się w nim portrety Tintoret'a i Rubensa, obrazy Rembrandt'a, jeden pendzla Salwatora Rosa, których Florencya i akademia wenecka pozazdrościćby mu mogły. Taż sama galerya obejmuje najcelniejsze utwory tegoczesnej sztuki duńskiej.

Malarze Kopenhagscy, zarówno jak ich współzawodnicy ze Sztokholmu lub Chrystyanii, przedmiotów do swych natchnień szukają wyłącznie w legendach, w historyi, lub w przyrodzie skandynawskiej. Exner jest malarzem domowego życia ludu skandynawskiego; jak Andersen w swych powieściach, tak on lubi wprowadzać widza do tych cichych i szczęśliwych ognisk domowych, w których przechowały się jeszcze patryarchalne obyczaje przeszłości Zawsze prawie przedstawia nam rodzinę zgromadzoną razem po wieczerzy, podczas długich wieczorów zimowych. Szczapy drzewa płoną w kominie, rzucając wesoły odblask na fizyognomię siedzących osób i odbijając po ścianach drżące połyski. Ojciec rodziny, rozparty w poważnym jak on sam fotelu, goni wzrokiem sinawy obłoczek dymu ulatujący z jego fajki; matka uczy czytać najmłodsze dziecko w starej, stuletniej może Biblii; babka opowiada jakąś legendę minionych czasów, powtarza lub improwizuje jakąś sagę — gdyż sagi Północy nie są dziełem poetów ani śpiewców z profesyi, są to opowieści pra-prababek przy domowem ognisku. Dzieci cisnące się na ławce słuchają z otwartemi ustami opowieści o bohaterach, w której występują opancerzeni żelazem rycerze i dostojne damy, lub znowu jakiejś fantastycznej bajki, która ich zarazem zajmuje i przeraża. Jedno z trwogą spogląda ku oknu, patrząc czy po za jego szybą nie spostrzeże czarownicy jadącej oklep na końskim szkielecie, aby dostać się do Blakulla, zaklętej puszczy w której wiedźmy zbierają się na tajemne posiedzenie, pod przewodnictwem szatana.

(*d. c. n*)

Korespondencya z Londynu.

Królowa Wiktorya jako spadkobierczyni Wielkiego Mogoła.—Uroczystość w Delhi.—Klęska głodowa w Indyach. Otwarcie Parlamentu. — Dramat na kolei z Liverpool do Chester. — Powódź w Anglii. — Gołębie pocztowe. — Zniknięcie bez śladu okrętu *Great-Queens-land*. — Powrót z wyprawy podbiegunowej parowców *Alerte* i *Decouverte*. Kompletne dzieła Alfreda Tenysson. — *Królowa Marya*, *Harold*.—Poeci nihiliści.—*Daniel Deronda*, Jerzego Elliot. *Przygody w Nowej-Gwinei*. — Cmentarz św. Pankracego.

(ciąg dalszy)

W ostatnich czasach kolej żelazna z Liverpool do Chester, była widownią strasznego dramatu. Dwóch pijanych mężczyzn wsiadło do wagonu w którym siedział już jakiś podróżny, i gdy pociąg ruszył rzucili się na spokojnego pasażera, który sądząc że chcą go obedrzeć, dobrowolnie oddał zegarek i pugilares. Pijacy oba te przedmiota wyrzucili oknem i w jednej chwili młodszy wyjął z kieszeni nóż i już miał poderżnąć nim gardło nieszczęśliwej ofiary na-

paści, gdy szczęściem pociąg zatrzymał się na stacyi i na krzyk mordowanego służba kolejowa przybiegła na pomoc. Wypadek ten wznowił głośne utyskiwania na niedbalstwo i lekceważenie podróżnych przez zarządy kolei żelaznych. W Anglii, z małymi wyjątkami, podróżni nie mogą znosić się z konduktorami pociągów, jak tylko za pomocą sznura ciągnącego się na zewnątrz wzdłuż wagonów, który chcąc pochwycić i pociągnąć, trzeba do połowy osoby wychylić się za okno wagonu; dalej, w ogóle nie mają stopni, za pomocą których możnaby zaglądać do wagonów w czasie ich biegu, jak to ma miejsce na stałym lądzie. Dziś dowiedzionem jest że służba nadzorcza nigdzie nie jest tak źle urządzoną, wielki czas byłoby temu zaradzić, prasa cała żywo się tego domaga.

Ulewne deszcze jakie padały w całej Anglii wielkie klęski ściągnęły na Londyn, sprowadzając masy wód do wielkich przypływów Tamizy, i wspaniałe nadbrzeża wzniesione na lewym brzegu rzeki, stóp Parlamentu, równolegle do Strandu, musiała naturalnie przelać zbyteczny napływ wody na prawe wybrzeże. Wypadku tego nie przewidziała londyńska rada robót publicznych, która zdaje się zapomniała zupełnie że już w r. 1875 podobny wylew miał miejsce. Całe przedmieścia Lamberth i Bermondsey zostały zalane, a wiadoma jest nędza panująca w tych przemysłowych dzielnicach Londynu i nie dość trwałe zabudowanie przedmieść tego olbrzymiego grodu: łatwo więc wyobrazić sobie najróżnorodniejsze klęski jakie spowodował niespodziewany wylew Tamizy. Ileż to tysięcy biednych robotników utraciło życie a co najmniej całe swoje mienie i tuła się bez dachu! Zarządzono składki publiczne i hojne datki posypały się dla nieszczęsnych ofiar powodzi.

Wiadomo że Anglicy przepadają za wszelkiego rodzaju „wystawami“; w każdej porze roku można tu urządzać przeróżne wystawy i liczyć na liczny poczet zwiedzających. Najdogodniejszem do tego miejscem jest *Crystal-Palace* (pałac kryształowy) w Sydenhamm; miały tam już miejsce w jesieni wystawy: psów, kotów i kanarków, a teraz z kolei urządzono wystawę „Towarzystwa amatorów gołębi.“ Z pomiędzy licznych odmian tych miłych ptasząt, obecnie najwięcej są cenione tak zwane gołębie pocztowe, które od czasu oblężenia Paryża, jak wszędzie tak i w całej Anglii wielką cieszą się wziętością. Zresztą te „wyścigi gołębi“ od dawna już miały licznych zwolenników w Wielkiej Brytanii; jeszcze w r. 1846 jeden z wielkich domów bankowych w Londynie, jedynie za pośrednictem gołębi wysyłał swe depesze na ląd stały. Obecnie ogarnął wszystkich jakiś szał do gołębi pocztowych, których stacye urządzają wszędzie, równie gorliwie jak we Francyi, gdzie administracya poczt i centralny gołębnik w ogrodzie aklimatyzacyjnym, mają obowiązek zaopatrzyć wszystkie fortece w tych skrzydlatych posłańców. Stawiono tu nierozstrzygnięte dotąd pytanie: czy np. podczas burzy, gołębie zdołają wznieść się po nad burzą wstrząsane strefy i gęste mgły, i dolecić na miejsce swego przeznaczenia. Klatki zawierające gołębie pocztowe w kryształowym pałacu były ciągle otoczone tłumem ciekawych, co jednak nie czyniło ich ani dumniejszemi ani odważniejszemi, i chroniły się w głąb kratek przytulając się do najdalszej ściany i uciekając od ludzi. Niektórzy naiwni widzowie mówili patrząc na to: że gołębie pocztowe instynktownie cisnęły się do ściany więzienia zwróconej ku swemu gołębnikowi, niby słonecznik goniący za słońcem.

Od pewnego czasu coraz częściej prawie zdarzają się wypadki rozbicia i zaginienia okrętów bez śladu i wieści; znaczna część tych okropnych wypadków przypada na Anglję, która prócz tak wielkiej floty rządowej, posiada jeszcze liczną bardzo marynarkę handlową. Pomimo że na nieszczęście za nadto oswojeni jesteśmy z podobnymi katastrofami, przecież niektóre z nich wyróżniają się tak niezwykłemi okolicznościami, iż silniej przykuwają uwagę publiczną! Do takich należy zniknięcie okrętu *Great-Queensland*, należącego do Towarzystwa Taylor, Bethel i Roberts z Londynu, o którym z nikąd żadnej nie ma wiadomości od 12 Sierpnia r. z. w którym to dniu odpłynął do Australii, mając na pokładzie osadę z trzydziestu pięciu ludzi i równą prawie liczbę emigrantów. Na nieszczęście *Great-Queensland* miał także ładunek sto tonn prochu, to jest dziesięć razy więcej niż potrzeba aby wywołać równie straszne następstwa jak ów wypadek na kanale Regent's-Parku, lub spowodowania wybuchu jaki na początku tego wieku, obrócił w perzynę połowę miasta Leyde, w Holandyi. Choćby beczki z prochem najstaranniej były zamknięte, często bardzo nie można ustrzedz wydobyciu się kilku ziarnek, to też w podobnych przeprawach starają się tak odosobnić beczki z prochem aby uronione ziarenka nie mogły się zapalić, skutkiem tarcia o żelazo lub inne ciała tejże natury. Otóż wyż wspomniony okręt oprócz ładunku prochu miał na pokładzie przeszło 200 tonn żelaza w sztabach i blachach, nadto amunicyą wojenną, siarkę oraz pewną ilość jakiego nowego środka zastępującego bawełnę strzelniczą, którego używanie coraz więcej rozpowszechnia się w Anglii. Ostatni ten wytwór jest zupełnie nieszkodliwy jeżli jest dobrze przyrządzony, ale jeżli nie jest dość starannie oczyszczony, wtedy staje się bardzo niebezpieczny i nagle wybuchliwy. Właśnie w kilka dni po odpłynięciu *Great-Queensland* nastąpił wybuch tego preparatu w tejże fabryce z której przechodził proch wysłany na zaginionym okręcie. Powszechnie powstają jak można było dozwolić nagromadzić na statku przewożącym emigrantów tak znaczną ilość materyałów eksplozyjnych, tak straszenem grożących niebezpieczeństwem. Powodem tego że administracya angielska nie uważa za okręta transportowe emigrantów, jak tylko statki mieszczące ich co najmniej pięćdziesięciu tak więc *Queensland* nie podlegał nadzorowi inspektorów emigracyi.

Powrót z wyprawy podbiegunowej dwóch parowców *Albert* i *Decouverte* nadzwyczaj żywe w całej Anglii obudził zajęcie. Wyprawa trwała ośmnaście miesięcy, pod dowództwem kapitana Nares; rozproszyła ona wiele złudzeń i ukazała bezużyteczność ofiar znacznych kosztów i narażania życia odważnych marynarzy, dla odkrycia drogi do bieguna o której marzył nieszczęśliwy kapitan Franklin.

Jakiejże to odwagi i wytrwałości dali dowód ci dzielni, nieustraszeni żeglarze! Opłynąwszy brzegi Grendlandyi, wśród lodowych szańców przedarli się i przybili do wyspy Littleton; rozglądają się do koło szukając wysp i lądów jakie w tem miejscu zaznaczyli na mapie podróżnicy amerykańscy, — daremnie. Wzięli oni za rzeczywistość miraże i zwodne odbicia. Olbrzymie bryły lodu zwiększają się nieustannie, aż zbite w jedną masę tworzą nieprzebytą zaporę, której nietylko ramię ludzkie rozbić ale słońce stopić nie zdołało. I słońce coraz bledszym świeci blaskiem i nareszcie znika z widnokręgu; zapada noc czarna, mająca trwać sto czterdzieści dwie doby, i tylko zorza północna rozjaśnia ją niekiedy. Mróz zwiększa się z dniem każdym; termometr spada aż na pięćdziesiąt pięć centygradów. Szkorbut i choroby gnębią osadę; majtkowie odziębiają ręce i nogi, które nie raz amputować trzeba, a operacya ta najczęściej kończy się śmiercią.

Kapitan Nares z niezmordowaną troskliwością czuwa nad całą osadą; dla pokrzepienia sił majtków zmusza ich do przechadzki i ćwiczeń gimnastycznych, a chcąc umocnić na duchu czyta im Biblię, urządza zajmujące wykłady z historyi i elementarnych początków nauk ścisłych.

Ta zabiegliwość kapitana odniosła pożądany skutek, podźwignięci fizycznie i moralnie, majtkowie odzyskali swobodny humor. Zbudowali salę teatralną z lodu, śnieg zastępował cement; pierwsze przedstawienie miało miejsce w rocznicę urodzin księżnej Wallii, oficerowie odegrali krotofilę p. n. „*Przyjdzie kolej i na mnie*“ a dzień Bożego Narodzenia obchodzili wesoło i uroczyście.

Najgwałtowniejsze zimno dało się uczuć w jednej nocy marcowej (72 centigradów niżej zera według termometru Fahrenheita). Z różnych przedsiębranych saniami wycieczek, żadna nie mogła się posunąć dalej nad kilka mil angielskich. Dnia 12 marca p. Egerton i porucznik Ravson w towarzystwie tłomacza duńskiego, Petersena, wyjechali saniami z parowca *Albert* dla skomunikowania się z parowcem *Découverte*, ale po dwóch dniach musieli wracać aby odwieść Petersena który odmroził nogi. Dla podtrzymania ciepła życiowego w ciele biednego tłomacza, z kolei kładł się na nim jeden z oficerów; dowieźli go żywego, ale chirurg osady musiał amputować mu obie nogi i umarł dwa miesiące później.

Ku biegunowi lód gruby jest na 180 do 200 stóp i tworzy niezmierzone szańce wśród których *Albert* mógł stać przez jedenaście miesięcy w lodowym porcie. Z nastaniem wiosny noc zaczęła się nieco rozpraszać, słońce wybiegło z za widnokręgu ale zaledwie przezierało przez tumany śnieżnej zamieci; jak tylko wzbiło się nieco wyżej, dnia 12 maja 1876 r. komendant Markham i porucznik Parr, wybrali najdzielniejszych majtków i urządzili nową wyprawę saniami. Jedni toporami wyrębują ścieżkę w olbrzymich górach lodu, drudzy zaprzęgają się do sań i ciągną je z największem wysileniem. Tym sposobem od rana do zmroku zaledwie mogą przebyć jedną milę angielską, co krok nowa zapora zagradza im drogę; niezmordowani pokonywają ją i coraz dalej i dalej posuwają się naprzód, tam gdzie nigdy jeszcze nie postała noga, gdzie nigdy nie rozległ się oddźwięk ludzkiej mowy. I tak posuwając się wśród niesłychanych trudności, dotarli o cały stopień bliżej bieguna niż wszyscy ich poprzednicy, i zatknęli pawilon angielski na 83° 20' 26" szerokości geograficznej.

(*d. n.*)

Odczyty publiczne.

(Dalszy ciąg).

Jak należy podawać naukę na popularnych prelekcyach najlepszy przykład dał nam p. Milicer, chociaż przedmiot jego pozornie zdawał się być tak błahym „O soli“, o zwyczajnej soli kuchennej. Któż jej nie zna? co o niej ciekawego powiedzieć można? Tymczasem półtorej godziny zbiegło jakby chwilka wśród ogólnego zaciekawienia, i prelegent nie wyczerpał jeszcze przedmiotu swego, a słuchacze chwytali każde słowo, każde doświadczenie usiłowali w pamięci swej zatrzymać. Znaczna większość pań naszych zobaczyła najprzód w jakich postaciach sól znajduje się w naturze: nie tylko w regularnych sześciennych kryształach, ale i w formie zbitych włókien, szafirowo albo czerwono zabarwionych, oraz w pięknych stalaktytach (naciekach), ozdabiających sklepienia grot niektórych, np. Ojcowa.

Dowiedziały się z niemałem zadziwieniem że ta rzecz codziennego użytku a tak niewinna, składa się z gazu i metalu, że gaz ten zielono-żółty, zwany *Chlorem*, ma działanie niezmiernie szybkie, trujące; a metal *Sod*, jest miękki i jak srebro błyszczący. Że te dwa ciała mające własności bardzo liczne a zupełnie odmienne, chemicznie łącząc się z sobą, nie tylko postać swoją ale i wszystkie własności utracają, tworząc ciało całkiem innej natury niezmiernie ważne dla wszystkich żyjących organizmów, tak dobrze znaną i tak w przyrodzie rozpowszechnioną, sól kuchenną. Dowiedziały się także zkąd pochodzą i jak powstały owe niezmierne grube i rozległe jej pokłady, np. w Wieliczce i Bochnii: że to są pozostałości mórz dawniejszych, które w epokach geologicznych, gdy powierzchnia ziemi nie była jeszcze taką jaką dziś ją widzimy, okrywały te miejsca, a powoli parując przy znacznie wyższej niż dziś temperaturze, w zagłębiach swych i kotlinach osadzały sól w wodzie swej zawartą, aż znikły z biegiem czasu, a grube pokłady soli pozostały i innemi znowu mineralnemi warstwami zostały pokryte.

Mówiąc o własnościach ciał prostych sól kuchenną składających, *Chloru i Sodu*, prelegent miał obszerne pole do licznych a zajmujących doświadczeń, które wykonywał z dokładnością wprawnego laboranta. Niemało przyczyniły się one do obudzenia zajęcia, wyjaśnienia i wrażenia w pamięć szczegółów przedmiotu, wykładanego przez p. Milicera jasno i treściwie, za co zupełnie zadowolniona publiczność grzmotem oklasków mu podziękowała.

Jednocześnie prawie z tym odczytem rozpoczął się w Muzeum Przemysłowem nowy szereg wykładów. Złą na nie obrano godzinę, gdyż ci co byli w Ratuszowej sali z trudnością mogli korzystać z odczytu p. Dziewulskiego „O cieple zastosowanem do przemysłu.“ A jednak słuchaczy nie zabrakło wcale, przeciwnie, chociaż sala Ratuszowa wraz z galeryami po brzegi była natłoczoną, z Muzeum Przemysłowego kilkaset osób bez biletów odejść musiało! Czyż nie dość wyraźny to objaw, jak chęć do nauki silnie w naszem społeczeństwie jest rozbudzoną? A nie jest to wcale moda, jak utrzymują niektórzy pessymiści, bo odczyty do jakiegobądź popisu najmniejszego nie przedstawiają pola, najpiękniejsze stroje, najekscentryczniejsze kapelusze przeszłyby zupełnie niepostrzeżone; że to więc nie jest moda, dowodzą najlepiej skromne kapelusiki i codzienne sukienki, które jedne tylko nawet w pierwszych rzędach się widzą, ale które więcej jeszcze nadają wdzięku pięknym twarzom Warszawianek, rozjaśnionych inteligentną myślą i blaskiem rozumnych oczu. A gdyby nawet i moda je tam zbierała, to taką modę tylko pochwalić należy.

Odczyt p. Dziewulskiego, dobrze już znanego z talentu do popularnego wykładu przedmiotów ściśle naukowych, należał do dziedziny fizyki, a dla osób mało z tą nauką obeznanych, bardzo był jasny, zrozumiały i istotny pożytek przynoszący. Prelegent określiwszy czem jest ciepło, wskazał źródła z których powstaje, siłę jego i własności, a wszystkie dowodzenia swoje tłomacząc odpowiedniemi doświadczeniami tem łatwiej i trwalej ustalał je w umysłach licznych słuchaczy. Nie mamy potrzeby rozszerzać się nad wielkim pożytkiem jaki się wynosi z odczytów takich, chociaż treść ich w każdym wykładzie fizyki się znajdzie, ale słowo żywe z gruntowną znajomością przedmiotu wypowiedziane i doświadczeniami poparte, o wiele więcej znaczy, łatwiej bez miary się pojmuje i na zawsze w umyśle pozostaje.

Niecierpliwie wyglądane dwa odczyty profesora i znanego krytyka H. Lewestama: „O J. I. Kraszewskim i pismach jego“ ściągnęły bardzo liczne grono słuchaczy. Przedmiot to tak wdzięczny, tak drogi dla serc naszych; bo i któż nie czyta dzieł Kraszewskiego, nie wie o jego olbrzymiej, niezmordowanej, nieustannej pracy, nie zna bezprzykładnej prawie jego twórczości, zasług jego jako pisarza i człowieka? Ale o ile wdzięcznem o tyle i trudnem było zadanie prelegenta. W ciągu dwóch odczytów, w ciągu dwu lub trzy godzinnej pogadanki, zebrać w jedną całość rozrzucone w tylu dziełach główne rysy talentu jego kierunku, wykazać poglądy i dążenia, wpływ w ciągu lat tylu wywierany na literaturę naszą i społeczeństwo, ocenić dokładnie zasługi, wszechstronny talent i tak olbrzymią pracę mistrza, jestto rzecz która w kilkunastu chyba prelekcyach lub też w osobnem, mozolnie wypracowanem dziele, zamknąć by się dała. Nie dość bowiem przeczytać około 500 tomów jego powieści obyczajowych, dzieł historycznych, dramatów, komedyi, rozpraw, krytyk, korespondencyi, szkiców, i t. p. ale staranuie je wystudyować, ażeby schwycić wątek moralny i jednolitość tendencyi autora przejawiające się we wszystkich okresach jego zawodu. Umiał wszakże prelegent, choć w tak ciasnych ramach, przedstawić najprzód wyborną charakterystykę wielkiego powieściopisarza, który strzegąc wiernie swych zasad, nie stał jednak uparcie na jednem miejscu, ale ciągle szedł naprzód za ruchem ludzkości, za postępem; nie starając się nawet o zewnętrzne wyprzedzanie dzieł swoich, aby co prędzej dać społeczeństwu to, co na sobie za pożyteczne być uważał, nie patrząc nawet na własną literacką sławę. Zdanie to potwierdza i list samego Kraszewskiego do prelegenta pisany. Następnie porównywał go z najznakomitszymi powieściopisarzami tak obcymi jako i swoimi, uwydatniając jego oryginalność, indywidualność i wyższość; a nareszcie cały ogrom dzieł Kraszewskiego rozdzielając na kategorye, rozpatrywał krytycznie, streszczając wybitniejsze utwory, jego powieści narodowe czyli *społeczne*, powieści *ludowe* i powieści *tendencyjne*. Taki podział utworów wielkiego pisarza dał możność systematycznego i ogólnego ich zcharakteryzowania, a w części i ocenienia chociaż w tak krótkim czasie. Dłużej nieco zastanawiał się szanowny prelegent nad ostatniemi powieściami historycznemi: *Stara Baśń*, *Lubonie* i *Bracia Zmartwychwstańcy*, tu ze sprawiedliwem oburzeniem, aczkolwiek z wielkiem umiarkowaniem, wystąpił przeciw lekkomyślnej krytyce tych ostatnich utworów zamieszczonej w jednym z organów tak zwanej młodej prasy, a usiłującej obniżyć znaczenie ich i wielką wartość. To też każdemu przy tym ustępie przyszedł na myśl piękny wiersz do Kraszewskiego niegdyś napisany:

U nas — gdzie przewodnikom narodowej pracy
Trud ciężkiego żywota jedyną nagrodą,
U nas — gdzie oni idą kornie jak żebracy
Przed tłumem, co za sobą do przyszłości wiodą,
I siejąc ziarno myśli, za wszystkie korzyści
Zbierać muszą zatruty owoc nienawiści!

Tłumne zebranie się publiczności na odczyt o Kraszewskim, i grzmot oklasków jakiem przyjęła wiadomość o jego polepszającem się zdrowiu, wymownym były dowodem jak serdecznie cenione są w kraju jego zasługi i jaka cześć głęboka otacza imię jego, była hołdem złożonym jego długoletnim a tak pożytecznym pracom, które nie jeden plon już wydały, a da Bóg w przyszłości wydadzą większe, a które tenże sam poeta tak pięknie określił w zakończeniu już przytoczonego wiersza:

Dość ci na teraz hołdu, który niewidomie
W serca skrytości szlachetnem uczuciem wykwita,
Wszak tobie towarzyszy wśród walk na wyłomie,
Prawdy, Dobra i Piękna miłość nie spożyta?
Ta wyda plon obfity — i gdy polskie niwy
Błysną dojrzałem ziarnem, zbierzesz plon prawdziwy

I szanowny prelegent niemały miał udział w tych owacyach wdzięcznej publiczności, którą ogrzał ciepłem serdecznych a szlachetnych zasad, przedstawiając jej obraz duszy, dążności i działalności Kraszewskiego w takiem świetle, w jakiem stoją one rzeczywiście przed współczesnemi i w jakiem przyszłość sądzić i cenić je będzie.

(*d. c. n.*)

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w drugim kwartale r. b., wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . **rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Марта 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 11.

(Dokończenie).

N. 26. Kapelusz z rondem á la Stuart, przód na ryc. 31 w N. 12.

N. 27. Kapelusz z rondem przystającem do czoła.

Ryc. 28—30. Czapeczka męzka.

Czapeczka z ciemno-bronzowego *matelassé* z fularową podszewką, jest lekko podwatowana i ozdobiona sutym kwastem. Okrągłe denko ma 14—15 cent. średnicy a boki 10—12 cent. wysokości; wyszycie na denku i bocznym lampasie, odrabia się jasno-bronzowym jedwabiem podług próbki ryc. 29 lub 30.

N. 31. Suknia ubrana aksamitem.

Wązkie vêtement formą princesse, zakładane jest z przodu w poprzeczne, 6 cent. głębokie fałdy, na które przy krajaniu dodaje się materyału. Plecy gładko zeszyte z boczkami, w środku tylko na 50 cent. długości od dołu, mają dodaną kontrafałdę 6 cent. głęboką, która trochę wystaje z pomiędzy ubrania aksamitnego; to ostatnie ma na ramionach $9\frac{1}{2}$, a w pasie 6 cent. z tyłu rozszerza się do 36 cent. szerokości, długości zaś od wcięcia stanu 90—95 cent. Z przodu od wcięcia końce są 15 cent. długie a 18 cent. szerokie. Model odrobiony był z ciemno-bronzowego wełnianego materyału, gładkiego i w pasy; aksamitne ubranie mankiety i kołnierz miały wypustki jedwabne ze sznurczkiem. Frendzla 10 cent. szeroka, sute kwasty, sznury i rozety, były wełniane.

N. 32. Ubranie z kirasowym stanikiem i tuniką spódniczkową.

Spódnica z czarnej faille z krótkim trenem, oszyta jest drobniutkiem, 25 cent. szerokiem plisowaniem. Bryt przedni i boczne kliny tuniki są trochę przymarszczone, bryt zaś tylny prosty luźno spuszczony. Długie patki w górze 9 u dołu 16 cent. szerokie, oszyte koronką i ubrane kokardami, przepinają z boków przemarszczenie. Długi stanik kirasowy z przodu na guziczki zapinany, z tyłu jest śpiczasto przedłużony i przybrany szarfami 16 cent. szerokiemi, z jednego brzegu 45, z drugiego 35 długiemi. Brzegi tuniki, szarfy i stanik oszyte są plisą z wypustką, która przy staniku ma w górze dodaną koronkę 4 cent. szeroką, a z przodu tuniki nagłówek w rurki ułożony. Bogata jedwabna frendzla 9 cent. szeroka strojnie przybiera suknią.



N. 20. Szlak w guście sławiańskim, do ryc. 21.



N. 24. Książeczka do igieł.



N. 21. Chustka kaszmirowa z haftowanym szlakiem. Patrz ryc. 22 i 23.



N. 25. Fartuszek gospodarski. Patrz ryc. 26.



N. 22. Chustka kaszmirowa z haftem w guście perskim.

Opis do N. 12.

N. 1—2. Dwie krawatki.

Rycina 1 przedstawia szalik jedwabny ciemno-niebieski 90 cent. długi a 12 szeroki z końcami ozdobionemi gałązkami kwiatów z tasiemeczki medaljonowej tudzież wszywką i koronką irlandzką. Krawatka jaką widzimy na ryc. 2 złożona jest z prostego kawałka jedwabnego repsu, koloru matowo różowego, 100 cent. długiego a 20 szerokiego, który składa się we dwoje i zszywa. Dolne brzegi są wysiepane na 4 cent. i podszyte plisowaniem z krepy białej.

N. 3—4. Suknia z vêtement.

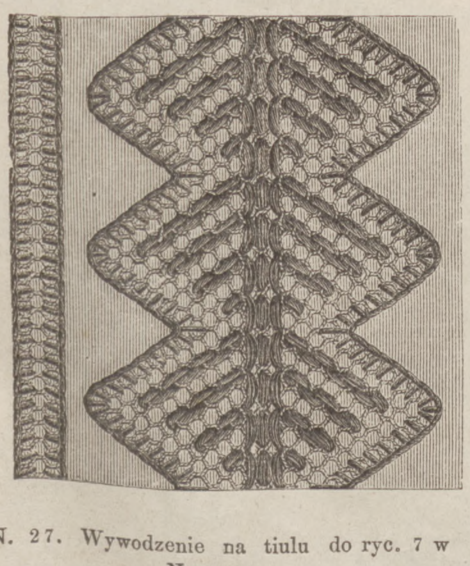
Na to ubranie może być użyty materyał wełniany gładki; w pasy lub matelassé albo też mieszany gładki z deseniowym. Vêtement dopasowane podług której z form princesse, jakie podaliśmy w Tygodniku, tylko krając plecy trzeba na długość przypuścić materyału na podpięcie. Plisowanie i ruloniki z materyi gładkiej zdobią suknię matelassową koloru indigo, załączoną na ryc. 4. Suknia ryc. 3 ma spódnicę gładką oszytą falbaną marszczoną, plisowaną i plisą z wypustką. Vêtement i plisa jest z materyału w pasy.

N. 5. Poduszeczka do śpilek.

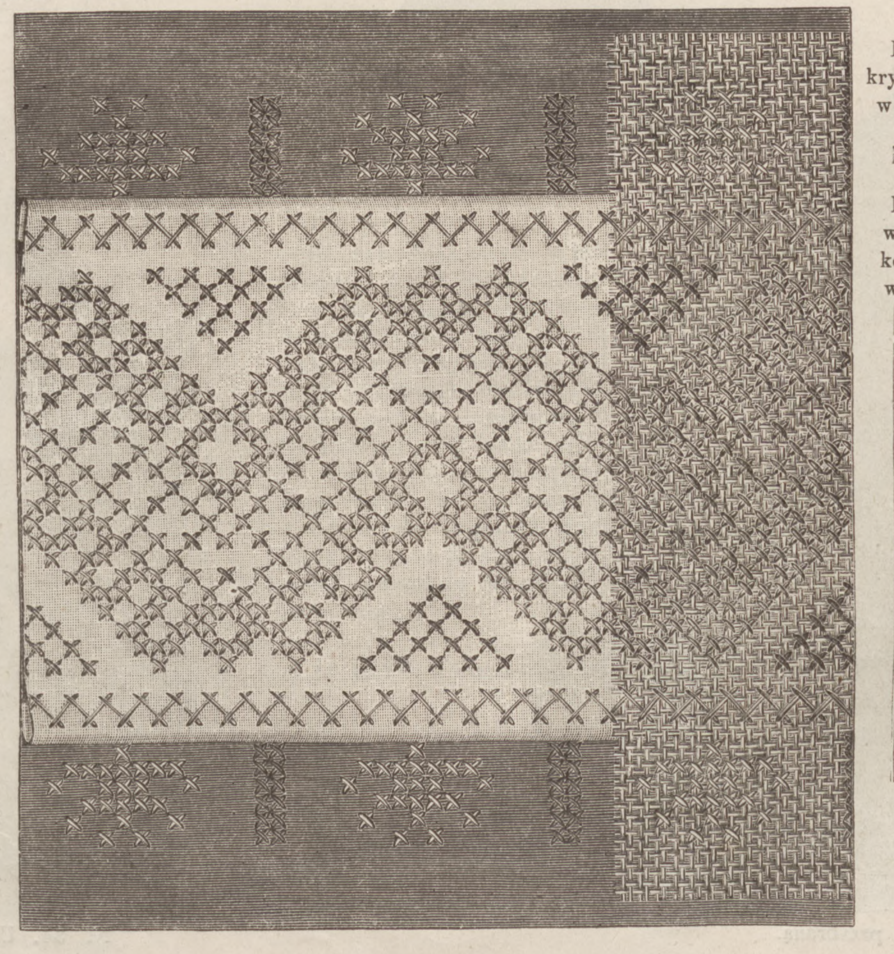
Kwadratowa trochę wypukła poduszeczka pokryta jest kanwą całkowicie zaszytą perełkami w dwóch kolorach; brzegi oszyte takąż frendzelką.

N. 6—7. Dwa kołnierzyki hiszpańskie.

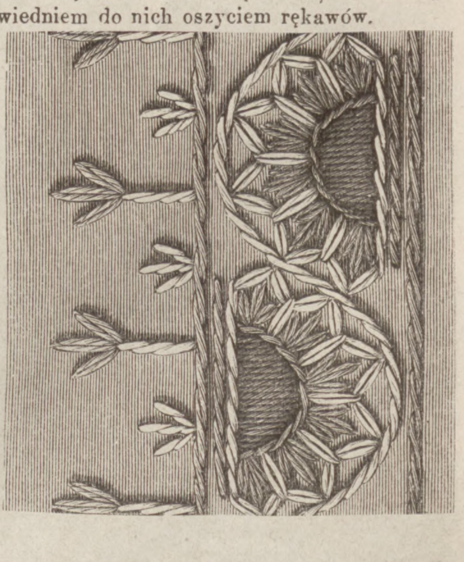
Do najmodniejszych kołnierzyków do ubrania wizytowego lub do teatru zaliczają się obecnie kołnierzyki szerokie hiszpańskie, wraz z odpowiedniem do nich oszyciem rękawów.



N. 27. Wywodzenie na tiulu do ryc. 7 w N-rze 11.



N. 26. Szlak wyszyty krzyżykami na płótnie do ryc. 25.



N. 23. Szlak w guście perskim do ryc. 22.

N. 6. Kołnierzyk z białego tiulu i koronki.

Tło kołnierzyka stanowi tiulowy zplisowany pasek 9 cent. szeroki a 34 długi (po zfałdowaniu), ażeby kołnierzyk nie podnosił się z tyłu trzeba podciąć go na 5 cent. wszerz. Brzegi otacza wysiepana z wstążki jedwabnej frendzla 6 cent. szeroka przysłonięta z wierzchu 4 cent.



N. 30. Kapelusz z główką śpiczastą.

szeroką nadmarszczoną koronką; po skończeniu kołnierzyk wszywa się w muślinowy pasek 4 cent. szeroki, i podwiązuje kolorową wstążką 5 cent. szeroką, która przegląda efektownie przez tiul.

N. 7. Kołnierzyk z czarnej koronki i wstążki.

Złożony jest w plisowane 2 cent. szerokie fałdy, z wstążki bladoniebieskiej 6 1/2 cent. szerokiej, oszytej 13 cent. szeroką czarną koronką. Z brzegów zostawione są końce do wiązania po 60 cent. długie.



N. 33. Ubranie wizytowe ze spódnicą suto przybraną. Patrz ryc. 34.



N. 28. Ubranie tyrolskie dla chłopca.

N. 29. Sukieneczka dla dziewczynki. Patrz ryc. 4 w N. 11.



N. 32. Uczesanie do wieczorowego ubrania.



N. 35. Rozłożona spódnica do ubrania ryc. 33—34.

N. 8—16. Jaja wielkanocne rozmaicie przyozdabiane.

N. 8—9. Jajko jako bombonierka.

Środek bombonierki stanowi kacze lub gęsie jajko nie-



N. 31. Kapelusz z rondem à la Stuart.

gotowane, które przekluwa się w końcach i wydmuchuje, następnie w końcu szerszym obcina delikatnie czubek ostremi nożyczkami, tak ażeby skorupka nie popękała. Dla mocy okleja się z wierzchu skorupkę nagumowanym muślinem a z brzegów dodaje pasek 5—6 cent. szeroki z materyi lub złotego papieru, naciętego i zfryzowanego po napełnieniu jajka angielskiemi cukierkami. Przyozdobienie zwierzchnie stanowią zwijane podług ryc. 9 wązkie kolorowe paski papieru lub wstążeczki, otaczające skorupkę.

N. 10. Bombonierka z jajka malowanego.

Skorupka przyrządzona jak do ryc. 8, po-



N. 34. Ubranie wizytowe z suto przybraną spódnicą. Patrz ryc. 33 i 35.

malowana jest farbą anilinową czerwoną, w gorącej wodzie rozpuszczoną; na takowem tle deseń maluje się tuszem i farbą złotą.

N. 11. Jajko ozdobione malowidłem naklejanem.

Na całem, dużem gotowanem jajku, rozmaite owady lub inne drobne malowidła, których gotowych dostanie w składach papieru, naklejają się gumą, albo przenoszą jako dekalkomanja. Dla nadania jajku piękniej białości i lustru, moczy je się przez kilka minut w occie i dobrze wyciera.



N. 1. Krawatka z koronki.

N. 12—13. Bombonierka w kształcie jaja. Malowidło na drzewie.

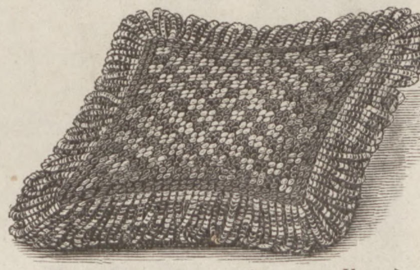
Na toczone lipowe pudełko w kształcie dużego jaja, przenosi się starannie rysunek (podany na ryc. 13) za pomocą papieru grafitowego albo uczernionego miałką kredką, a następnie sepją albo brunatną farbą, piórkiem albo cienkim pendzelkiem wykończa malowidło. Tło może być ciemno-brunatne albo czarne, dla trwałości politurę pociąga się lakierem.

N. 14. Gniazdko z jajkami. Robota na drutach.

Otoczenie gniazdka stanowi pasek baranka robionego na drutach z białej kastorowej włóczki. Na pentelki okręca się włóczkę 2—3 razy na wskazujący i środkowy palec lewej ręki, i przerabia razem jako 1-no oczko; drugi raz przerabia się gładko. Następnie pasek spaja się w kółko, ostatnie pentelki od dołu nabiera na nitkę na derko, która przeciąga się przez środek od jednych po drugich pentelek, na to podściela się watę, układa małe jajka cukrowe lub czekoladowe i obkłada mchem zielonym.



N. 3—4. Suknia z vêtement.



N. 5. Poduszka wyszyta perełkami.



N. 6. Kołnierzyk hiszpański z białego muślinu i koronki.

N. 15. Serwetka do jaj gotowanych. Robota na drutach.

Do utrzymania ciepła w gotowanych jajach służy serwetka łatwym ściegiem robiona na drutach, z włóczki ponsowej lub białej, trzymająca 30—34 cent. w kwadrat, obrobione z brzegu ząbkami szydełkowemi. Do wkładania jaj dodane są na serwetce trójkątne kieszonki, które zaczyna się od góry na o. 24, a gubi stopniowo do 2 oczek i obrabia ząbkami. Kieszonki przyczepia się wypukło do serwetki.

N. 16. Kłębek w kształcie jajka.

Gotowe takie kłębki sprowadzane bywają z zagranicy, w środku bawełny ukrywa się cukierek lub jaka drobnostka którą pilne dzieci znajdują po wyrobieniu kłębka. Nitka wychodzi ze środka, tak więc mimo ubywania bawełny zachowuje się forma. Powleczenie siatkowe robi się w koło z włóczki ponsowej i ściąga w końcach na wstążeczki. Środkiem naszyty pas ze wstążki.

N. 17. Ubranie wiosenne.

Ubranie z gładkiego i w paski wełnianego materyału z vêtement formą princesse, garnirowane jest skośnemi falbanami zakończonemi plisami w pasy. Przy vêtement nadplisowaną falbaną dane dwie plisy.



N. 2. Krawatka z krepowem plisowaniem.

N. 18. Kokarda z bratkami.

Koronka hiszpańska 4 cent. szeroka, materya drobno broszowana i gałązka kwiatów, tworzą zręczną kokardę do kołnierzyka, ułożoną na kawałku sztywnego tiulu. Najpierw z brzegu przyczepia się dwa, koronką oszyte kawałki, 13 i 16 cent. długie i tyleż szerokie, w końcach nieco zaokrąglone, przez środek we dwoje złożone i przyfałdowane w sposób na rycinie wskazany z drugiego boku kawałek materyi 8 cent. szer., także koronką oszyty, złożony wzdłuż przez środek i jako pukiel przypięty. W górze dodane trzy kokardy 8 cent. szerokie a 5 długie.

N. 19. Kokarda z bukiecikiem fijołków.

Kokarda z crepe-lisse blado lila, składa się z czterech pukli 5 cent. długich a 9 szerokich i z dwóch końcy wachlarzowo ułożonych, 10 cent. długich a 16 szerokich, koronką 6 i 3 cent. szeroką ozdobionych. Kokardy przepięte są węzłem i gałązką fijołków.

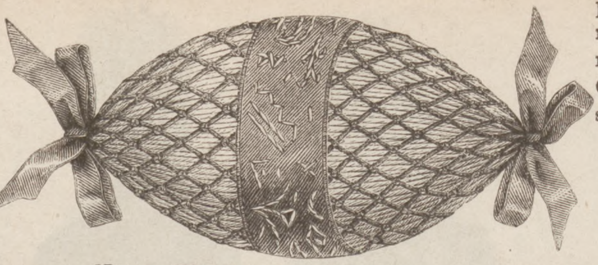


N. 7. Kołnierzyk hiszpański z czarną koronką.

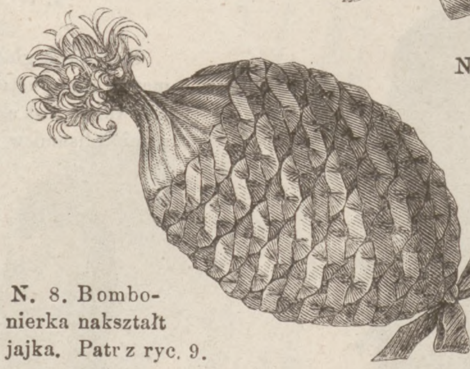
N. 20—23. Chustki kaszmirowe haftowane.

Kwadratowe kaszmirowe chustki haftowane kolorami w guście perskim lub sławiańskim, na ciepło dni wiosenne, stanowić będą bardzo modne i dogodne okrycie. Na ryc. 20 podajemy w naturalnej wielkości deseń do haftu w guście sławiańskim, a na ryc. 23 w guście perskim. Haft używany do narodowych strojów kroackich przy chustce ryc. 21 był na tle jasnem odrobiony filozelą, miał gwiazdy jednym kolorem bordo a linie proste i gięte łańcuszkowe takimże kolorem ciemniejszym. Arabeski zaś środki kwiatów dwoma cieniami mchowo-zielonemi, szlaczek krzyżowany ciemno-bordo. Na chustce ryc. 22, palmy i gałązki w guście perskim odrobione były żywemi kolorami. Podobny deseń był w r. 1872, szczegółowo w Tygodniku mód opisany.

Szlaczek wązki w koło chustki, odrobić podług ryc. 23 w kolorach użytych do narożnika.



N. 16. Kłębek w kształcie jajka.



N. 8. Bombonierka nakształt jajka. Patrz ryc. 9.



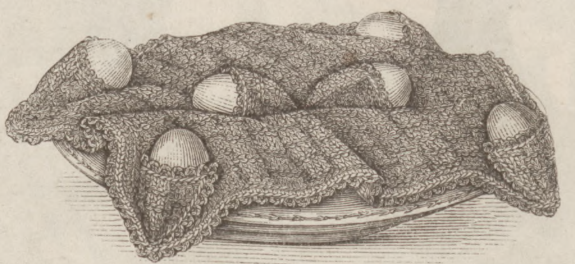
N. 9. Przewijanie wstążeczki lub papieru do ryc. 8.



N. 10. Jajko jako bombonierka.



N. 14. Gniazdko z jajkami.



N. 15. Serweta do jajek gotowanych.

N. 24. Książeczka do igieł i śpilek. Wyszycie kolorowym kordonkiem, na białem suknie.

Poduszeczka i podszewka z kolorowej materyi na cienkiej tekturze, kartki z flaneli.



N. 11. Malowane jajko wielkanocne.

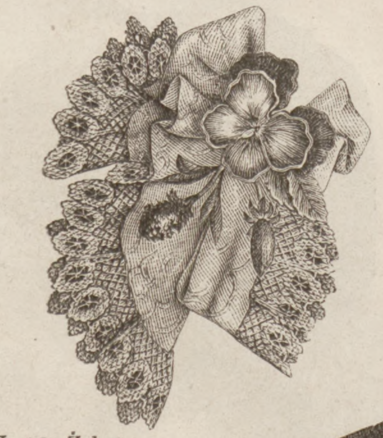
N. 25—26. Fartuszek do gospodarstwa, ozdobiony ściegiem krzyżowym.

Prosto, bez klinów akrojony fartuch z płótna szafirowego lub szarego, ozdobiony jest szlakiem wyszytym na płótnie białem (z podłożeniem cienkiej kanwy), bawełną ponsową i szafirową. Krzyżywane wyszycie na podwójnie podłożonym brzegu jest ponsowe, a krzyżyki na tle za szlakiem białe i ponsowe. Węższe szlaczki na tle białem zdobią napierśnik, pasek i wywinięte rogi.

N. 27. Szlaczek do ryc. 7 w N. 11.

N. 28. Tyrolskie ubranie dla chłopczyka.

Tak kurtka jak i majtki są koloru zielonawo popielatego z klapami i wyłogami z sukna zielonego. Kapelusz tyrolski popielaty z pawiemi lub koguciemi piórami.



N. 18. Żabot przepięty bratkiem.

N. 29. Opis przy ryc. 4 w N. 11.

N. 30. Kapelusz z wysoką, śpiczastą główką.

Główki takie używane będą do wiosennych kapeluszy dla młodych osób. Model kapelusza był z czarnej słomki z rondem w górę podniesionem, podszytem repsem czarnym i podpiętem sutą rozetą ze wstążki. Główka ubrana materyą tileul skośnie ciętą 20—25 cent. szeroką, kwiatami lipowemi, niezapominajkami i różami.

N. 31. Kapelusz z rondkiem à la Stuart, przód do ryc. 26 w N. 11.

Rondko z cienkiej czarnej słomki podszyte jest plisą z czarnego repsu i podgarnirowane krepą lub koronką. Bufowana główka z repsu koloru *tilleul*, opasana czarną repsową wstążką, z długiemi końcami i puklami; i otoczona wieńcem z liści aksamitnych koloru orzechowego i zgniłozielonego, ze spadającemi sznelowemi gałązkami i jagodami szafirowemi.

N. 32. Balowe ubranie głowy.

N. 33—35. Strojne ubranie ze stanikiem z baskiną.

Ryc. 33—34, przedstawia z przodu i z tyłu odmiennie przybraną suknie z zagarnirowaną spódnicą, bez tuniki. Spódnica o jednem klinie, z tyłu i z boków powinna gładko przylegać do figury, a bryt tylny (jak przy ryc. 1—2 w N. 11), jest od dołu szerszy i przymarszczony. Model odrobiony dla osoby wysokiego wzrostu, miał z przodu 110, z tyłu 160 długości a 340 dolnego obwodu. Ażeby wyraźniej przedstawić garnirunek spódnicy, podajemy takową w zmniejszonym rysunku, płasko rozłożoną i przy brycie tylnym rozprutą. Oprócz dolnego, 28—32 cent. zajmującego garnirunku, gładki przód zdobią cztery w podłuż idące plisy, tył zaś jest przymarszczony i ubierany w fałdy układaną materyą plisami do środka w ząb się schodzącemi i kokardami przepiętemi.

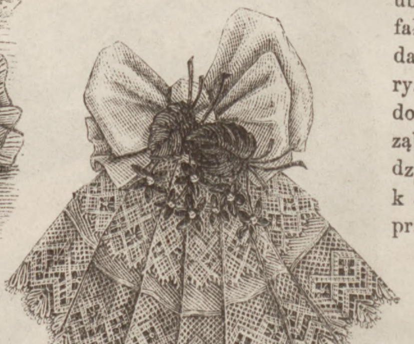
(d. n.)



N. 12. Jajko jako bombonierka. Patrz ryc. 13



N. 7. Suknia z vêtement.



N. 19. Żabot przepięty bukiecikiem fijołków.



N. 13. Malowanie na drzewie do ryc. 12.